

NAOKOŁO ŚWIATA

ilustrowany magazyn literacki



Książka
Tłum. Kowalski

RZYM ✱ ZESZYT I ✱ STYCZEN ✱ 1946

NAOKOŁO ŚWIATA

ILUSTROWANY MAGAZYN LITERACKI

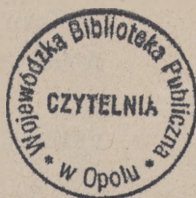
Zeszyt I

Rzym

Styczeń 1946

Kolekcja
Emila Kornasia

JOZEF ŻYWINA



KOLEDA WARSZAWSKA

*Przyszedłeś, Jezuniu, przyszedłeś za wcześnie
— Nie stać mnie dzisiaj na pogodę w pieśniach.*

*Za późno przyszedłeś, Jezuniu wśród nocy,
Daremnie żądała Warszawa pomocy...*

*Nie czekaj, Jezuniu, aż przyjdą z koledą,
Lulajże Małeńki, — umarli przybędą.*

*Bierz krzyż Twój Jezuniu z rozbitej ulicy
Bo już go nie dźwigną warszawscy pątnicy...*

Celem pomnożenia i wzbogacenia polskiej literatury emigracyjnej Redakcja « Naokoło Świata » rozpisuje

WIELKI KONKURS LITERACKI *NA OPOWIADANIE, NOWELĘ, HUMORESKĘ LUB SATYRĘ, NA TEMAT DOWOLNY*

Warunki uczestnictwa w konkursie « Naokoło Świata » są następujące:

1) *W konkursie literackim « Naokoło Świata » może uczestniczyć każdy Polak, cywilny czy wojskowy, przebywający na emigracji.*

2) *Rozmiary utworu literackiego nie mogą przekraczać 12 stron maszynopisu papieru znormalizowanego. Prace pisane ręcznie nie będą brane pod uwagę.*

3) *Maszynopisy nie mogą nosić nazwiska ani imienia autora, lecz muszą być opatrzone obranem przez niego GODŁEM czyli HASŁEM, przyczem to « godło » lub « hasło » powinno być iaknajkrótsze, najłatwiej jednosłowne.*

4) *Każdy uczestnik konkursu może nadesłać kilka prac, lecz każda z nich musi być oznaczona innem « godłem ».*

5) *W osobnej, dobrze zalepionej kopercie, nadesłanej równocześnie z tekstem utworu, uczestnik konkursu umieszcza na kartce swe imię, nazwisko i adres, na kopercie zaś pisze « godło », którem opatrzony jest tekst utworu.*

6) *Maszynopis utworu musi być opatrzony w « Kupon uczestnictwa w konkursie literackim « Naokoło Świata » ». Kupon ten należy wyciąć z niniejszego numeru magazynu. Maszynopisy nieopatrzone kuponem będą z konkursu wyłączone.*

7) *Termin nadsyłania prac konkursowych mija z dniem 28 lutego 1946. Decydującą jest data stempla pocztowego. Prace należy nadsyłać pod adresem Polski Czerwony Krzyż, Redakcja « Naokoło Świata », CMF 707, Polish Forces.*

N A G R O D Y

8) *Sąd konkursowy po zapoznaniu się z wartością nadesłanych utworów udzieli następujących nagród Redakcji « Naokoło Świata »*

- I nagroda w wysokości 10.000 lirów**
II nagroda w wysokości 7.000 lirów
III nagroda w wysokości 5.000 lirów

Pozatem sąd konkursowy rozdzieli dwie nagrody « Polskiego Domu Wydawniczego » w Rzymie.

- I nagroda w wysokości 10.000 lirów**
II nagroda w wysokości 5.000 lirów

9) *Nagrody Redakcji « Naokoło Świata » i « Polskiego Domu Wydawniczego » nie będą łączone.*

10) *Nagrodzone utwory przechodzą na własność Redakcji « Naokoło Świata » względnie « Polskiego Domu Wydawniczego ».*

11) *Pozatem Sąd Konkursowy wyróżni chlubnie 15 prac. Prace wyróżnione mogą być zakupione dla publikacji przez Redakcję « Naokoło Świata » wzgl. przez « Polski Dom Wydawniczy » według norm ogólnie przyjętych.*

12) *Skład i regulamin Sądu Konkursowego ogłoszony będzie w najbliższym numerze « Naokoło Świata ».*

Wzywamy wszystkich, mających zaufanie do swego pióra, by wzięli jaknajszerszy udział w naszym konkursie literackim.

Redakcja “ Naokoło Świata ”

KUPON UCZESTNICTWA

w “ Wielkim Konkursie Literackim „
redakcji “ Naokoło Świata „

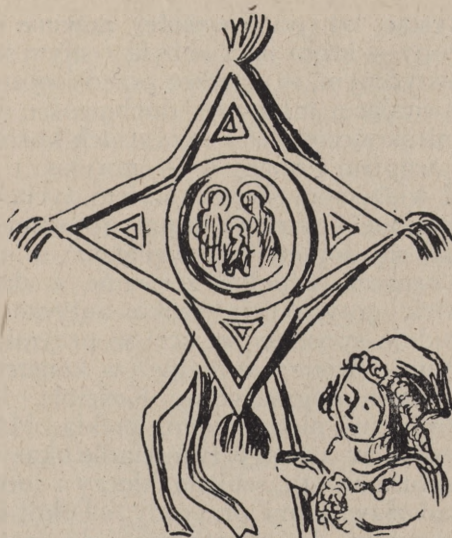
GODŁO

TYTUŁ UTWORU

Wyciąć i załączyć do maszynopisu



KRAJOBRAZ POLSKI



KAROL STROMENGER

K O L Ę D Y I P A S T O R A Ł K I

Rysunki J. Hładki-Wejwódowej i S. Manteuśla

Rok tysięczny był chwilą dramatyzmu politycznego. Załamała się ostatecznie idea rzymskiego imperium, a na jej zwaliskach już wnet miał się toczyć spór cesarstwa z papiestwem. Ludzi ogarnia niepokój o zbawienie dusz, niepokój, który wnet wypowie się w egzaltacji wypraw krzy-

zowych. W tysiąc lat po «wesołej nowinie» człowiek środkowej Europy — która jeszcze była «całym światem» — w niepokoju mistycznym, w ucieczce przed światem realnym i w poczuciu świtającej już nowej duchowości, wypowiadał swą tęsknotę nieskończoności i swój strach kosmiczny. Wypowiadał swój tragizm i wiarę w — gotyku.

Gotyk był widzeniem świata, stylem życia. Był stylem sztuki, dawno utajonej i przez wieki przygotowanym, stylem, który teraz miał się dopiero wypowiedzieć w niesłychanej pełni. Gotyk oznacza zupełne zerwanie z dziedzictwem antyku. Człowiek gotycki nie szuka antycznej harmonii ducha, nie znajduje sposobu wejścia w przymierze z otaczającym światem — wierzy w magję i w konstrukcję. Konstrukcją był system dogmatyczny Kościoła, konstrukcją wszelkie hierarchie — nieba, ziemi, piekła. Myśl szukała systemu symbolów, w którego zwierciadle ukazywałyby się tajemniczą strukturą świata, szukała kluczy i formuł władzy nad ideami i nad zjawiskami przyrody. «Pokój ludziom na ziemi» był dogmatem. Ale wyjątkowość dogmatu o bożym człowieczeństwie, zapewne od wieków, musiała przeświecać stroną uczuciową. Betlejemski żłobek był przedmiotem wzruszenia, wdzięczności i czułości religijnej.

W łonie kościelnego dogmatu o Narodzeniu Pańskim, rozwija się nieśmiało dramat liturgiczny, łącząc się zrazu z nabożeństwem. Po mszalnej *dimissio* «*Ite, missa est*» — następował w niektórych kościołach krótki dialog anioła z pasterzami. We Francji wieku XI-go, w Niemczech południowych, pojawiają się łacińskie, prymitywne, rymowane dialogi — pierwsze sceny pasterskiej adoracji. Na pytanie «*Quem quaeritis in praesepe — pastores? dicite*», brzmiała odpowiedź: «*Salvatorem Christum Dominum — infantem pannis involutum*». Jeżeli jednak tradycja przypisuje ustanowienie jasełek św. Franciszkowi z Asyżu, to dla ujmującej i poetycznej formy, jaką ten święty nadał Mszy w noc Bożego Narodzenia odprowadzanej. Tomasz z Celano, w swej «*Vita prima S. Francisci*», pisze: «Na trzy lata przed śmiercią, a więc 1223 r., Franciszek zapragnął obchodzić uroczystie pamiątkę Narodzenia Chrystusa. W tym celu zawezwał do siebie niejakiego Jana, mieszkającego w pobliżu Greccio i polecił mu przygotować tam żłobek oraz przy-

prorowadzić wołu i osła. Z różnych stron zwołano braci. Ludność z okolicy przygotowuje z radością pochodnie i świece woskowe, gdyż uroczystość ma się odbyć w lesie o północy, w noc Bożego Narodzenia lud bieży do lasu a nowe misterium budzi w nim nowe uczucie radości. Nadchodzą święty, ustawiają żłobek napełniony sianem, przyprowadzają wołu i osła, i — Greccio przemienia się jakby w drugie Betleem. Podczas solennej Mszy, Franciszek ubrany w strój lewity, śpiewa Ewangelię, poczem wygłasza kazanie. Wtedy jeden z obecnych — podług Bonawentury ten sam Jan — ma wizję: widzi w żłobku Dzieciątko, do którego zbliża się Franciszek i budzi je ze snu ».

Autor podstawowej rozprawy o «Jasełkach Krakowskich», dr. Julian Pagaczewski (z którego pracy cytuję streszczenie powyższego opisu) snuje nić jasełkowych tradycji franciszkańskich w Polsce Bolesława Wstydliwego i Władysława Łokietka, — przytacza przykłady najstarszych figur jasełkowych, Marii i Józefa, pochodzących z XIV-go wieku, a zachowanych w klasztorze św. Andrzeja w Krakowie. Klasztor ten posiada również późniejsze figury jasełkowe, renesansowe, barokowe, wreszcie figury z wieku XVIII. W perspektywie różnych wieków widzimy — choćby na tych figurach — coraz większą rodzajowość i postępującą poufałość z tematem Bożego Narodzenia. Mówił dogmat: «Et incarnatus est...» a przez św. Franciszka, inspiratora tytu hymnów i śpiewów bożenarodzeniowych, zmienił się stosunek rzeszy chrześcijańskiej do dogmatu, stał się serdeczny i nabrał entuzjazmu.

Wesoła nowina była wydarzeniem biblijnym, ale stawała się świętem rodziny chrześcijańskiej. Ludzie głosem spiżowej potęgi śpiewali «resonet in laudibus», «gloria in excelsis et pax hominibus bonae voluntatis», ale śpiewali też o radości ludzkości: «Tempus adest floridum», «Dies est laetitiae» i «In dulci jubilo», ewangeliczna świętość bratała się z radością wielkich i maluczkich. Z tej harmonii powstawały zwyczaje: mistycznych kołysanek i formy «radości ewangelicznej». Za czasów angielskiego Henryka VIII-go zakonnice klasztoru w Chester, podczas procesji Bożego Narodzenia, płaszały, śpiewając łacińską koledę «Qui creavit coelum». Tańczona pieśń kościelna była nie jedynym

przykładem kościelnego tańca, który później zanikał, kiedy Kościół pilniej musiał strzec swej godności, a laickie szopki coraz rubaszniej przedstawiały i komentowały epizody biblijne.

Poprzez wieki widzimy coraz wyraźniej: dogmat uśmiechnięty wyrozumiałością. Na pograniczu obrzędu i laickiego w nim udziału zakwitają kołysanki Dzieciątka. « *Dormi fili* » z refrenem « *mille Tibi laudes canimus* » — oto jeden z tekstów, licznych i o niezliczonych wariantach, które poddawały ton owemu zwyczajowi — jak go nazywa stary rękopis polski — « zabawy przy Nowonarodzonym Panu Jezusie przez nabożne i wesołe śpiewanie, które dusza nabożna ma wyprawować, lulając i zabawiając dziecinę płaczącą ». Zwyczaj « tulenia i lulania » Dzieciątka Jezus utrzymywał się długo w kościołach chrześcijańskich. Był to niby rytuał nieoficjalny, który Kościół tolerował w swych przybytkach, jako sentyment ludzi « dobrej woli ». Kościelna łacina śpiewów coraz bardziej ustępowała językom « ludowym », jakby w myśl kolędowego tekstu o Tym, który « będąc synem Bożym — stał się naszym bratem ». Więc « bliskie przyjaciółstwo », które « ma z nami już Bóstwo » — wyrażało się w języku gminu. Lud witał w Chrystusie « Brata i Przyjaciela ».

Wszystkie ludy zaczęły przenosić zdarzenie biblijne do kraju własnego, nadały Bożemu Narodzeniu swoją miejscową dekorację i swój strój. Miejscowe tło mają niezliczone teksty kolędowe. Swoje własne pieśni śpiewali szopkowi pasterze, święto kościelne było zarazem świętem rodzinnym.

Kolęda « *Anioł pasterzom mówił* » — uważana za najstarszą polską, bo już pojawia się w rękopisie z połowy XVI-go wieku — zbliża się melodią do średniowiecznej pieśni « *Orientis partibus* », śpiewanej w Niemczech, Francji i Anglii, znanej jako « *prosa de asino* », na pamiątkę osiołka z ucieczki do Egiptu. Wspólne melodie kolędowe polskie i czeskie są przedmiotem osobnej rozprawy naukowej, ale również paralele między kolędami naszymi a innych narodów, niekiedy dalekich — są często uderzające. Wędrowały melodie, przybywały do Polski z falami mody i obcego obyczaju. Zapewne i z Polski kolędy wychodziły na wędrowkę do obcych krajów.

Motywy poetyckie tekstów, zdawałoby się, będą we wszystkich europejskich kolędach podobne, a jednak w polskich tekstach kolędowych często uderza piękne stosowanie antytezy. Boskość i pokora stajenki betleemskiej są szczególnie charakterystycznym przeciwieństwem w polskich wierszach kolędowych: « Który grzmi na niebie —



płacze, drży we żłobie, Co wszym wszystko daje — ubogim się staje, Który żywi wszystko — piersi ssie panieńskie, Przyodziewa wszystko — sam leży nago». Motyw takiego kontrastu, drogiego kantyczkowej poezji, wzniosł Franciszek Karpiński do wyżyn poezji i językowego splendoru: «wzgardzony — okryty chwałą, śmiertelny król nad wiekami». Tu antyteza uderza w dzwon słowa, parafrazując efekt retoryczny, znany starodawnej poezji kościelnej.

Przeważna część znanych kolęd polskich pochodzi z wieku XVIII-go. Rzadziej z wieku poprzedniego. Przejrzeć

kolędy i pastorałki polskie, a znajdzie się w nich kilka typów zasadniczych, przede wszystkim polskich tańców — poloneza i mazura, wraz z odmianami mazurka. Od kiedy tańce polskie ustaliły swą formę rytmiczną i weszły w obyczaje polskie, tzn. od początków wieku XVII-go — musiały zapewne ich melodie wchodzić w związki z praktyką i obyczajem kolędniczym. Taneczne melodie polskie tworzą główny trzon grupy kolęd dziś popularnych i powszechnie śpiewanych. Te melodie nadają kolędom charakter specjalnie polski i przeważnie charakter ludowy. Dworskim przyczynkiem



wydają się menuety i inne tańce obce. Bo w kolędzie schodzą się i równają ze sobą wszystkie stany, każdy stan ofiarowuje swój udział w powszechnym hołdzie — jak niegdyś królowie i pasterze w Betlejem. Musimy rozróżnić kolędę właściwą, śpiewaną w kościele i w domu — od pastorałki. Z kolędą pastorałka ma wspólny temat. Ale podczas gdy kolęda jest pieśnią, pastorałka jest dramatem, misterium ludowym, żywą « szopką ». Przez długie wieki trwały i narastały tradycjami te widowiska półkościelne, a półlaickie, grane przez żaków czy przez « clerici vagantes », przez bractwa kościelne i bractwa aktorskie, przez mieszczan i lud wiejski.

Jak Boże Narodzenie było skarbnicą symbolów chrześcijańskich, tak — dla Polaków w czasach tragicznych — sama kolęda stała się polskim symbolem. W « Wyzwoleniu » Wyspiańskiego wizja szczęśliwego domu polskiego wybrzmiewa nutą kolędy. Wielki symbolista myśli polskiej — kiedy przedstawił tę myśl, targaną bolesną refleksją nad przeszłością i niemniej tragiczną chwilą obecną — widział szczęście w postaci śpiewu o Bożym Narodzeniu — jakby w nowym mesjaniźmie. Nie jest to już romantyczny mesjaniizm Śmierci ale Narodzenia... Chopin, w tragicznej chwili upadku Powstania, pisze swe pierwsze Scherzo, w którego środkowej części brzmi kolędowa melodia. Kolęda była nieumówionym symbolem marzenia o domu, marzenia, które snuli ludzie bezdomni, była tęsknotą tułaczy-emigrantów, ich daleką nadzieją. Ale prorok Jezajasz mówił: *« lud, który w ciemnościach chodzi ujrzy światłość wielką, a tym, którzy żyją w cieniu śmierci — światłość świecić będzie... »*.

HENRYK SIENKIEWICZ

WSPOMNIENIE Z MARIPOZY

(Z OPOWIADANIA)

Byłem tylko jakby przelotem w Maripozie i równie pobieżnie zwiedziłem jej okolice. Byłbym się jednak dłużej zatrzymał i w mieście i w hrabstwie, gdybym był wiedział, że o kilkanaście mil od miasta żyje w lesie prototyp mego « Latarnika ». Przed niedawnym czasem pan M., który jednocześnie ze mną był w Kalifornii,

przeczytawszy « Latarnika », opowiedział mi spotkanie z podobnym do niego zupełnie polskim skwaterem. Opowiadanie to powtarzam wiernie co do treści.

* * *

... Po drodze do Big Trees, czyli olbrzymich drzew kalifornijskich, zajechałem do Maripozy. Miasto to liczyło przed niedawnymi jeszcze laty do 15-tu tysięcy mieszkańców, obecnie jest ich dziesięć razy mniej. Wiadomo, że w Nowym Świecie miasta rodzą się jak grzyby, ale też często mają żywot motyli. Tak było i z Maripozą. Póki rzeczka Maripoza przeświecała złocistym dnem, a na brzegach osadzała zielonawe grudki drogiego metalu, roili tu się górnicy amerykańscy, « gambusinos » z Meksyku, i kupcy z całego świata. Potem wszystko to wywędrowało. « Złote » miasta są nietrwałe, bo złoto, prędzej czy później, musi się wyczerpać. Dziś miasto Maripoza ma z tysiąc mieszkańców, a brzegi rzeki Maripozy pokryły się już na nowo gęstwiną wierzb płaczących, drzewa bawełnianego i innych pomniejszych krzewów. Tam, gdzie dawniej górnicy śpiewywali wieczorami: « I crossed Missisipi », obecnie śpiewają kujoty. Miasto składa się z jednej ulicy, na której najpiękniejszym budynkiem jest szkoła; drugie po niej miejsce trzyma « Capitol », trzecie hotel pana Billinga, obejmujący zarazem grocериę, « saloon », to jest szynk i « bakery » czyli piekarnię. Kilka innych sklepów świeci wystawami wzdłuż ulicy. Ruch jednak handlowy jest tu bardzo niewielki. Sklepy zaopatrują potrzeby samego tylko miasta, bo w okolicy mało jest farmerów. Całe hrabstwo ma jeszcze nader nieliczną ludność, po większej zaś części szumi olbrzymiemi lasami, w których rzadka siedzą skwaterowie.

Gdy dylżans nasz wjeżdżał do miasta, było w niem niezwykle ludno, przybyliśmy bowiem w piątek, a to jest dzień targowy. Skwaterowie przywożą w ten dzień miód do grocери, w której wzamian zaopatrują się w rozmaite artykuły żywności. Inni przypędzają trzodę, farmerowie dostawiają zboże. Lubo emigracya napływa do Maripozy bardzo pomału, znajdowało się wszelako i kilka wozów emigranckich, które łatwo poznać po białych, wyso-

kich dachach i po tem, że między kołami zwykle upięty jest na łańcuchu pies, szop, albo niedźwiadek. Ruch przed hotelem panował niemały, gospodarz zaś hotelu, pan Billing, kręcił się na wszystkie strony, roznosząc dżin, whisky i brandy. Na pierwsze wejście poznał on we mnie cudzoziemca, jadącego do Big Trees, ponieważ zaś tacy turyści stanowią najpożądalszą dla niego klientelę, dlatego zajął się mną ze szczególną troskliwością.

Był to niemłody już człowiek, ale ruchliwy i żywy jak iskra. Tak po jego ruchach, jak i po twarzy, łatwo było poznać, że nie był to Prusak. Z wielkiem ugrzecznieniem wskazał mi mój pokój. Objaśnił, że już jest po brekfeście, ale jeżeli sobie życzę, podadzą mi natychmiast jeść w «dining room».

— Gentelman zapewne z San Francisko?

— O nie. Z dalszych stron.

— All right! Zapewne do Big Trees?

— Tak jest.

— Jeżeli pan życzysz sobie obejrzeć fotografie drzew, wiszą one na dole.

— Dobrze, zaraz zejść.

— Czy długo pan zabawi w Maripozie?

— Kilka dni; potrzebuję odpocząć, a przytem chcę widzieć okoliczne lasy.

— Polowanie tu doskonałe. Niedawno zabito pumę.

— Dobrze, dobrze. Tymczasem pójdę spać.

— Good bye! Na dole jest książka hotelowa, w której pan raczysz zapisać swoje nazwisko.

— Dobrze....

Położyłem się spać i spałem aż do obiadu, o którym oznajmiono uderzeniami pałki w blaszaną górniczą miednicę. Zeszedłem na dół i przedewszystkiem zapisałem się do książki, nie omieszkawszy do swego nazwiska dodać: «from Poland». Następnie udałem się do «dining room'u». Targ widocznie już się skończył, handlujący rozjechali się do domów, bo do obiadu zasiadło kilka tylko osób. Dwie familie farmerskie, jakiś jegomość bez oka i bez krawata, miejscowa nauczycielka, która widocznie stale mieszkała w hotelu i jakiś starzec, o ile z ubioru i broni mogłem wnosić — skwater. Jedliśmy w milczeniu, przerywanem tylko krótkimi frazesami: «Chciałbym panu podziękować za chleb» lub «za masło» lub «za sól». W ten sposób siedzący dalej od chleba, masła lub soli, proszą o posunięcie tych przedmiotów bliżej nich siedzących

sąsiadów. Byłem zmęczony, i nie chciałem rozpoczynać rozmowy. Rozglądałem się natomiast po pokoju, którego ściany, jak rzekł pan Billing, były zawieszone fotografiami drzew olbrzymich. Więc: «Father of the Forest» czyli ojciec lasu, zwalony już. Nie mógł jednak udźwignąć swoich 4.000 lat na grzbiecie!

Długość: 450 stóp, obwód 112. Ładny tatuś! Wierzyć się nie chce oczom i podpisom. «Grizzled Giant»: 15 łokci średnicy. No! nawet Żydzi nasi namyślaliby się, gdyby im kazano odstawić taką roślinkę do Gdańska. Dusza skakała mi z radości na myśl, że wkrótce zobaczę w naturze i własnymi oczyma tę grupę drzew, a raczej wież kolosalnych, stojących samotnie w lesie... od potopu. Ja, warszawiak, ujrzę własnymi oczyma «ojca», dołknę jego kory a może kawał jej przywiozę do Warszawy, na dowód sceptykom, że naprawdę byłem w Kalifornii. Człowiek, gdy się tak zabłąka, samemu sobie wydaje się dziwnym i mimowoli cieszy się myślą, jak to będzie opowiadał za powrotem i jak miejscowi sceptycy nie będą mu wierzyć, by były na świecie drzewa, mające pięćdziesiąt sześć łokci obwodu. Rozmyślenia te przerwał mi głos murzyna.

— Czarnej kawy? białej?

— Czarnej, jak sam jesteś — chciałem odpowiedzieć, ale odpowiedź byłaby nietrafną, stare bowiem murzynisko miało białą, jak mleko, czuprynę i ledwo nogi włożyło ze starości.

Tymczasem obiad się skończył. Wstali wszyscy. Ojciec farmer zapchał sobie zuchwy tytoniem, mama farmerka, siadłszy na biegunowem krześle, poczęła się bujać zawzięcie, a córka, jasnowłosa, grzywiasta Poly, czy Katty, poszła do pianina i po chwili usłyszałem:

— Jenkee Doodlee is going down Town...

— Nie mnie brać na Yankee Doodlee! — pomyślałem sobie. — Od New-Yorku do Maripozy grają mi to panny na fortepianach, żołnierze na trąbkach, murzyni na bandzach, dzieci na kawałkach wołowych żeber. Zapomniałem! Jeszcze na okręcie prześladowała mnie Yankee Doodlee. Zczasem w Ameryce pojawi się zapewne choroba: Yankee Doodlee-fobia!

Zapaliłem cygaro i wyszedłem na ulicę. Lekki mrok ogarniał przestworze. Wozy się porożjeżdżały, emigranci również. Było cicho i uroczco. Zachód rumienił się zorzą, wschód ciemniał. Było mi jakos wesoło i dobrze. Życie wydało mi się nader przyjemnem, lekkim, swobodnem. Z ogródków, przy domach, dochodziły mnie

śpiewy, gdzieniegdzie wśród krzewów mignęła biała sukienka, gdzieniegdzie para jasnych oczu. Co za śliczny był wieczór! Szkoda tylko, że w Ameryce obywatele mają zwyczaj wieczorami palić śmiecie na ulicy. Zapach dymu bardzo niepotrzebnie miesza się oto z zapachem róż i świeżą wonią pobliskich lasów. Od czasu do czasu z przyległych do miasteczka pól i gęstw dolatywały odgłosy pukaniny ze strzelb, bo niemal wszyscy mieszkańcy Maripozy są myśliwymi; zresztą ruch już ustał, śmiecie dogorywały. Na ulicy spotkałem kilka osób, i nie wiem, czy mimowoli własne moje usposobienie przeniosłem na twarze innych, ale wśród łagodnych blasków zachodu, wszystkie te twarze wydały mi się dziwnie zadowolone, spokojne i szczęśliwe.

— Może też — myślałem sobie — żyje się tu cicho, spokojnie i szczęśliwie, w tym nieznanym, zapadłym w lasach, kącie świata. Może też w tej amerykańskiej swobodzie dusza tak rozpromienia się i świeci łagodnym światłem, jakby robaczek świętojański. Tu przytem i nie głodno i nie chłodno, i przestrzeni dużo, jest się gdzie rozkurczyć, jest ręce gdzie wyciągnąć... A przytem te lasy tak spokojne, ach! jak spokojne!.. Kilku murzynów, idących naprzeciw mnie, śpiewało dość dźwięcznymi głosami, szczęściem nie Yankee-Doodle, ale «Srebrne nitki».

— Dobry wieczór panu — rzekli, przechodząc koło mnie.

I ludzie tu jacyś życzliwi, grzeczni. Doprawdy, gdy przyjdzie starość, pomyślę nieraz o tej cichej Maripozie. Z wysoka doleciał mnie głos żorawi, ciągnących gdzieś ku Oceanowi. Rozkołysałem się i rozmarzyłem. Dziwne zebranie wrażeń, ale wróciłem do hotelu prawie rozrzuwiony i jakiś tęskny. Począłem myśleć o domu, o moich, i także zacząłem śpiewać, ale nie Yankee Doodle. O nie! Śpiewałem: «U nas inaczej! inaczej! inaczej!...».

— Puk, puk, puk!

— Ciekawym, kto to być może? — pomyślałem.

— Puk! puk!

— Come in.

Wszedł gospodarz. Co u licha! co za kraj! I ten ma minę zupełnie wzruszoną. Zbliży się do mnie, ściska mnie silnie za rękę i nie puszczając mej dłoni, oddala się na długość ramienia, patrząc na mnie tak, jakby mnie chciał błogosławić.

Otwieram usta i moje zdziwienie równa się jego rozrzuwieniu.

— Zobaczyłem w księdze hotelowej — mówi — pan jesteś z Polski?

- Tak jest. Czy i pan Polak?
- O nie! jestem badeńczyk.
- To pan był w Polsce?
- O nie! nigdy...
- A więc?...

Moje oczy otwierają się równie szeroko, jak usta...

- Panie — rzecze gospodarz — służyłem pod Mierosławskim.
- Tam do licha!
- To był bohater! to największy wódz w świecie! Jakżem szczęśliwy, że pana widzę... Czy on żyje jeszcze?
- Nie, umarł.

— Umarł! — mówi Niemiec, i siadłszy, ciężko opuszcza ręce na kolana, a głowę na piersi.

Nie wiedziałem sam, co mam zrobić. Nie podzielałem entuzjazmu pana Billinga dla M., ale w tej chwili entuzjazm ten był mi miłym i pochlebiał mi. Tymczasem p. Billing zwycięża swój smutek i uwielbienie jego dla M. płynie kaskadą, wobec której niczem Niagara, albo Yosemite Falls. O uszy moje obijają się imiona kilku bohaterów starożytności, kilku z średnich wieków, następnie Washingtona, Lafayette'a, Kościuszki i Mierosławskiego; potem słyszę wyrazy takie jak: swoboda, postęp, cywilizacja — słyszę setkami, tysiącami. Wymowny generał miał widocznie wymownych szeregowców.

— To był człowiek idealny! — wykrzykuje nakoniec mój gospodarz.

— Był, czy nie był, mniejsza o to! — myślę sobie — ale faktem jest, że ty, pozytywny Niemcze, jeśli masz w sobie coś idealnego, to dziwnym zbiegiem okoliczności zawdzięczasz to Polakowi. Gdyby nie on, ergo, gdyby nie my, myśl twoja nie uleciałaby może nigdy ponad dolary, bussines i zyski ze swego hotelu. Łapałbyś tylko chciwie turystów, jadących do Big Trees i skakał koło nich, jak koło mnie skakałeś, a teraz oto duch wyższy dmie przez ciebie, jak przez dudy organów — i wyrzucasz słowa, które już skwaśniały, jak stare piwo, w Europie, ale które jednak nie przestały być najszlachetniejszymi słowami, na jakie się zdobył język ludzki. W starej Europie jest tylko może jedyny kąt, gdzie je biorą jeszcze na seryo i czasem wymawiają ze łzą w oku, a czasem z bólem, że inni poniewierają temi skarbami, lub na nich gwizdzą, jak na dziurawych orzechach. Ale trudno... I w owym kącie czasem także... trudno — o jak trudno! Co za pocziwy

jakiś niemiec; nie imponuje mu nic a nic Sadowa, ani Sedan, on tylko wspomina M. i swoje Badeńskie. Co za pocziwy niemiec Adres jego: Billing's Hotel, Kalifornia, Mariposa County. Warto zanotować adres takiego Niemca. Trzebaż aż do Maripozy po niego jechać!

All right!

On tymczasem powtarza: «Ach ten M!» i obciera oczy, wyraźnie obciera oczy. Dusza złota!

— Tak mi miło, że pana widzę, jakbym się napił whisky z imbirerem! — mówi do mnie.

Ściska moją dłoń, ściska ją po raz drugi, trzeci, i zabiera się ku drzwiom. Przy drzwiach pali się ręką w czoło, aż plasło.

— Ale! — mówi. — O tom zapomniał! Przecie tu jest pański rodak.

— W Maripozie?

— Nie, on mieszka w lesie. Ale w piątek przyjeżdża na targ z miodem, i zostaje na noc. Stary człowiek. Bardzo dobry, bardzo dobry! On tu już jest ze dwadzieścia lat. Jeszcze tu nikogo nie było, jak on przyszedł. Jutro go panu przyprowadzę.

— Jakże się nazywa?

Niemiec staje i poczyną się w głowę drapać, jak pierwszy lepszy polski Bartek.

— O! I don't know! Nie wiem! — mówi. — Coś bardzo trudnego.

Nazajutrz, ledwie wstał, już mój Niemiec, jeszcze przed brekfestem, przyprowadził mi rodaka.

Natychmiast poznałem w nim starca, który wczoraj jadł ze mną obiad.

Był to człowiek wysoki, bardzo nawet wysoki, ale pochylony mocno. Miał białą głowę, białą brodę i niebieskie oczy, które utkwili we mnie odrazu z jakąś dziwną uporczywością.

— Zostawiam panów samych — rzekł Niemiec.

Zostaliśmy tedy sami i patrzyli na siebie przez długi czas w milczeniu. Po prawdzie, byłem jakiś zmieszany widokiem tego starca, podobniejszego do Wernyhory, niż do przeciętnego rodaka.

— Zwę się Putrament — ozwał się starzec. — Aza nazwisko moje obce jest uszom twoim?

— Nazwisko moje M. — odparłem. — Pańskie odbiło mi się o uszy. Zda się z Litwy?

Coś istotnie przypominało mi się z «Pana Tadeusza», coś

« Putrament z Pikturą » w opowiadaniu Protazego o procesach.
Starzec przyłożył rękę do ucha.

— He? — rzekł.

— Zdaje mi się z Litwy?

— Podnieś głos twój, albowiem wiek zepsował uszy moje i głuchą jest starość moja — odrzekł pan Putrament.

— Czy on kpi sobie ze mnie, czy ja głupi jestem? — pomyślałem, — Ale coś ten staruszek mówi językiem proroków. Cóż za oryginałów spotykam w tej Maripozie?

— Pan dawno z kraju? — spytałem.

— Dwadzieścia dwa lata tu mieszkam, i zaprawdę, pierwszym jesteś, którego oglądam ze stron ojczystych, gwoli czemu wzruszone jest serce moje i uradowana dusza we mnie.

Rzeczywiście, starzec mówił głosem drżącym i wydawał się bardzo wzruszony. Co do mnie, byłem tylko zdziwiony. Nie siedziałem dwadzieścia lat w lesie, Polaków widziałem niedawno w San-Francisko i nie miałem powodu się rozczulać. Miałem natomiast trochę ochoty wykrzyknąć: co za styl! Żeby tak kto do mnie mówił przez dobę, tobym chyba zaczął wyć... Brr!.. Tymczasem starzec wpatrywał się we mnie uporczywie i myśl jego zdawała się silnie pracować. Kilka razy jakby pragnął mówić i uciał. Widocznem było, iż sam czuł, że nie wyraża się, jak każdy inny człowiek. Mówił zresztą bardzo poprawnie, ale z trudnością.

— W ziemi dalekiej stęzał język mój i związały się wargi moje...

— Co prawda, to nie grzech! — pomyślałem.

Ale wesołość opuszczała mnie. Robiło mi się jakoś przykro i uczułem pewien wyrzut sumienia. Jak sobie tam mówi, tak mówi, ten starzec — myślałem — ale mówi ze wzruszeniem, z głębokim smutkiem i szczerze, a ja oto, jakbym podrwiwał sobie z niego.

I mimowolnie wyciągnąłem ku niemu obie ręce. Wziął je i przycisnął silnie do swych piersi, powtarzając:

— Rodak! rodak!

Takie uczucie drgało w jego głosie, że chwyciło mnie wprost za serce.

W każdym razie miałem przed sobą dziwną zagadkę, a może bardzo smutną. Począłem tedy patrzeć na niego, jakbym patrzył na starego ojca. Posadziłem go z uszanowaniem na krześle i sam usiadłem koło niego. On wciąż patrzył na mnie.

— Co słyszać w ziemi naszej? — spytał.

Rozpuściłem język, jak kołowrot, starając się tylko mówić głośno i jasno. W ten sposób gadałem z pół godziny, a w miarę słów moich, szanowna jego głowa kiwała się smutno — lub uśmiech występował mu na usta. Powtórzył raz zdanie Galileusza i częstokroć zadawał mi pytania, zawsze tymże samym poważnym dziwnym i niewytlómaczonym dla mnie stylem.

Wszystko com mu opowiadał, zajmowało go nad wszelki wyraz. Cała jego dusza zbiegała się do oczu i ust. Żyjąc samotnie, wśród lasu, może dnie całe myślał tylko o tem, co płynęło teraz z ust moich.

Dziwny starcze, dziwna raso ludzka, która na najodleglejsze krańce świata niesiesz jedną myśl i jedno uczucie! Tem żyjesz w lasach, w pustyniach i nad morzem — unosisz ciało swoje a duszy oderwać nie umiesz — i chodzisz, jak błędna, między innymi ludźmi! Ale rasa ta wymiera zwolna. Ja wam opowiadałem o jednym z ostatnich.

Opowiadanie zda się wymysłem, a jest rzeczywistością. Putrament może żyje jeszcze w swoim lesie, w bliskości Maripozy. Z opowiadań jego dowiedziałem się co następuje. Był pasiecznikiem, jak większość skwaterów. Nie jest zbyt biedny. Pszczoły zarabiały na jego życie. Zestarzawszy się, wziął pomocnika, małego indyanina, który dogląda pasieki. Mówił, że sam dotychczas jeszcze codzień poluje. Zwierzyny w pobliżu Maripozy jest mnóstwo: jeleni, antylop i ptastwa wszelakiego moc nieprzebrana.

Niedźwiedzie przerzedziły się znacznie. Jego «Canyon» jest jednym z najpiękniejszych w okolicy. Przy domu jest cudny strumień, tworzący mnóstwo kaskad — zresztą skały i góry a na nich las i las nieprzebyty... Cisza, spokój... Zapraszał mnie mocno, bym go odwiedził, ale musiałbym z powrotem czekać aż do następnego piątku, więc z żalem nie mogłem przyjąć zaproszenia. Mówił ciągle, jak jaki Abraham, lub Jakób... Słowa: Aza, azali, zaprawdę, lepak, przecz i wzdy — powtarzały się w jego ustach co chwila. Czasami zdawało mi się, że mam przed sobą jakiegoś człowieka z czasów Górnickiego, lub Skargi, który pod ziemią przewędrował do Maripozy i zmartwychwstał tu, lub żył od owych czasów, jak owe Big Trees pobliskie. Ale prócz tego starego języka, była w mowie jego jeszcze i jakaś dziwna uroczystość, polegająca na toku zdań, na mnóstwie pleonazmów, na szczególnych określeniach. Postanowiłem wreszcie rozwiązać zagadkę.

— Powiedz mi, szanowny panie, zkąd ci się wziął ten język?

Język to nie dzisiejszy, ale stary, którym już nie mówią w Polsce
Uśmiechnął się.

— Jedną książkę mam w domu: biblię Wujka, którą czytuję
codzień, abym nie zapomniał mowy mojej i nie stał się niemym w
języku ojców moich...

Teraz zrozumiałem. Przez kilkadziesiąt lat w zapadłej Mari-
pozie nie widział ani jednego Polaka, nie mówił z nikim. Czytywał
więc Wujka i nic dziwnego, że nie tylko jego słowa, ale i myśli,
ułożyły się do miary biblij. Inaczej już po polsku nie umiał i nie
mógł umieć; oddawał to, co czerpał. Nie chciał tylko za nic w
świecie zapomnieć. Miał zwyczaj czytać głośno swoją biblię każdego
ranka. Zresztą nic więcej nie dochodziło go ze stron ojczystych,
nic, znikąd — chyba tylko szum lasu kalifornijskiego przypominał
mu szumy litewskie.

Gdyśmy się żegnali, rzekłem:

— Za miesiąc wracam do kraju. Czy nie masz pan jakich
krewnych? brata, swata, kogokolwiek, komubys mógł dać znać o
sobie?

Zamyślił się, jakby szukał w pamięci jakich najdalszych krew-
nych — potem począł potrząsać głową.

— Nikogo... nikogo... nikogo...

A jednak ten starzec czytywał Wujka i nie chciał... zapomnieć.
Pożegnaliśmy się.

— Niech Cię prowadzi Pan! — rzekł mi na drogę.

On zaraz wyjechał do lasu — ja, w dwa dni potem, do Big
Tress. Gdym wsiadał do dyliżansu, mister Billing wstrząsał moją
ręką, jakby, ją sobie chciał urwać na pamiątkę i powtarzał:

— To był wielki człowiek, panie, ten M. — Good bye! Good
bye! Sehr grosser Mann!

W kwadrans potem otoczyły mnie lasy Maripozy. Nazajutrz,
rankiem, myślałem sobie: w tej chwili stary Putrament czyta
głośno w Kanjonie swoją biblię...



Katedra Św. Jana w Warszawie
Zniszczona całkowicie w powstaniu 1944 roku.

OFIARA WANDY

Bolek usiadł grzecznie przy oknie i zaczął czytać, to znaczy, że stało się coś niedobrego. Bo jeżeli Bolek zabrał się do książki, to już było pewne, że albo rozbiliśmy gdzieś szybę, albo któryś rozbił sobie głowę, czy też spadł z huśtawki. Książka w ręku Bolka mogła także oznaczać pożar. Zawsze w pięć minut potem, jak Bolek zaczął czytać, przychodził ktoś ze skargą.

Tym razem Bolek z Jankiem utopili mnie w stawie, ale to wykryło się dopiero w godzinę później. Narazie zaś mama, widząc Bolka czytającego, zaczęła śledztwo od zwykłych słów :

— Bolek, powiedz odrazu, co się stało.

Bolek naturalnie odpowiedział, że nie wie o niczem i dodał, że ani Janka ani mnie od obiadu nie widział. Wobec tego mama była już zupełnie pewna, że coś się stało.

I rzeczywiście weszła do pokoju żona ogrodnika mówiąc, że najmłodszy panicz się utopił. (Najmłodszy to właśnie byłem ja). I kapelusz pływa po stawie.

A stało się to tak :

Mieszkaliśmy wtedy w nowem mieszkaniu. Na przedmieściu, daleko. W takim starym domu, który nawet ludzie nazywali pałacem. Ale to nie był wcale pałac. Babcia mówiła, że to rudera. Więc wtedy mieszkaliśmy w tym pałacu. Przy nim był ogród i dwa stawy. Jeden większy, drugi mniejszy.

Ja wpadłem właśnie do większego. No, bośmy się bawili w Wandę, co to nie chciała Niemca i wołała skoczyć do Wisły. Mnie kazali właśnie grać Wandę. I żeby wszystko było naprawdę, Bolek, który grał Rytygiera, popchnął

mnie tak, że wpadłem do wody. Jakoś mnie jednak obaj potem wyciągnęli, tylko kapelusz popłynął z wiatrem daleko na środek stawu. Kapelusz, jak zawsze w takich wypadkach, musiał być nowy, nowiusieńki. No, i naturalnie kupiła go babcia.

Gdy mnie wyciągnęli, byłem zupełnie mokry. Więc kazali mi stanąć na słońcu i schnąć. A była to piąta po południu. W kwietniu. I dosyć zimno. A oni obaj krzyczeli na mnie, abym schnął prędzej. I że każdy z nich na mojem miejscu byłby już dawno suchy. Schnąłem więc tak prędko, jak się tylko dało, ale ciągle jeszcze byłem mokry. I to ich bardzo gniewało. Mówili, że najdalej za kwadrans powinienem być zupełnie suchy.

Nagle zaczęło mi coś dziwnie pisać w jednym bucie. I byłem pewny, że to żaba. Tak jakby mi się coś ruszało pod pończochą.

— To nie żaba, tylko woda tak piszczy.

— Nie! Napewno żaba! Słowo honoru!

— To zdejmij but, zobaczymy.

Obraziłem się bardzo i żeby im udowodnić, że to żaba, a nie żadna woda, zdjąłem trzewik. Żaby nie było wcale. Więc śmiali się ze mnie, a tymczasem zaczęło pisać w drugim bucie. Żeby ich przekonać, że to przecież żaba, zdjąłem i drugi but, ale wylało się tylko trochę wody. A żaby nie było. Co zaś najgorsza, trzewiki nie dały się już włożyć, więc zostałem w samych pończochach. A Bolek irytował się i mówił, że ja jestem wszystkiemu winien, bo poco było naprawdę skakać do wody, jak grałem tę Wandę. Wystarczyłoby udać, a nie zaraz topić się. A potem poco zdejmowałem trzewiki? I dlatego on odchodzi, żeby potem nie było przypadkiem na niego. Odszedł, ale jeszcze zawrócił się z drogi i dodał, że go to wprawdzie nic, a nic nie obchodzi, ale jeżeli za dziesięć minut nie będę zupełnie suchuteńki, to on mi jutro pokaże... I na pożegnanie krzyknął groźnie:

— A zazięb mi się! No!...

I żebym mamie nie pisał ani słowa! Ale to było całkiem niepotrzebne, bo i tak nie powiedziałbym za nic, ale to za nic. Aniby nie powiedział ani się nie zaziębił, bo mamy nie można martwić. Mama ma kłopoty.

Bolek odszedł, a ja zostałem z Jankiem, który mnie pilnował. Słońce tymczasem świeciło jak malowane i wreszcie zaszło, a ja tylko dzwoniłem zębami, bo już było całkiem zimno. Janek co chwila dotykał mnie rękami, ale w dalszym ciągu byłem mokrzuteńki. Więc Janek był bardzo zły na mnie i gadał, że to zawsze tak bywa, jak się bawi ze smarkaczami... Że już ostatni raz ze mną!... I żebym skakał, ruszał się prędko, bo inaczej gotowem się zaziębić, a wtedy mama nie pozwoli nam samym chodzić nad staw.

Tymczasem mama przyszła nad brzeg z ogrodnikiem, stróżem i jeszcze jakimiś chłopami i zaczęli szukać. Widziałem z za drzewa, że jeden chłop zdjął buty i wszedł do wody. A potem odwiązali łódkę. I widzieliśmy, że mama bardzo jest zdenerwowana i każe szukać w tem miejscu, gdzie pływał mój kapelusz. Ale obaj z Jankiem nie chcieliśmy się pokazać, aby mamy jeszcze bardziej nie martwić. Więc ci chłopci szukali dalej.

— A co będzie, jak mnie tam znajdą? — pomyślałem głośno, ale Janek oświadczył, że to jest wyłączone.

Jedna z łódek przywiozła mój kapelusz, a ten chłop, co szukał drągiem po dnie, wyszedł na brzeg. Wtedy Janek obejrzał mnie dokładnie i stwierdził, że już jestem wcale suchy i że już możemy wyjść z ukrycia. Pokazaliśmy się więc na głównej ścieżce, udając, że się bawimy. Niby, że nic się nie stało.

Tam na ścieżce ujrzała nas mama. I chłopci bardzo targowali się o pieniądze. Zwłaszcza ten, który wszedł do wody, krzyczał, że zmarł okropnie. A właściwie, co on mógł o tem wiedzieć? Przecież on się zamaczał tylko do pasa, a ja wpadłem cały z głową. I nic nie gadałem.

Wieczorem przy kolacji Boles jakimś ponurym głosem zapytał mamę, czy dużo wzięli ci chłopci, ale mama odrzekła, że to już nie o pieniądze idzie, tylko... I pierwszy raz widzieliśmy, że się z mamą coś stało, bo nagle wyszła do drugiego pokoju, nie zjadłszy kolacji. I nie chciała wrócić, mimo że bardzo prosiłszy przez zamknięte drzwi. Bolek nawet szarpał za klamkę, ale mama nie odezwała się ani słowem. Tylko my i tak wiedzieliśmy, że mama płacze...

HERMINIA NAGLEROWA

KTÓŻ TO BYŁ ARTUSEM?...

FRAGMENT POWIEŚCI

• Krauzowie i inni • Rozdział XIII, tom II

Podajemy tu jeden rozdział z doskonałej powieści «Krauzowie i inni» pióra znakomitej pisarki p. Herminji Naglerowej.

Akcja tej powieści rozgrywa się w kilka lat po powstaniu styczniowym w ówczesnej Galicji wschodniej. Wspomniany w rozdziale zamach Berezowskiego na cara Aleksandra II dokonany został w Paryżu w 1867 roku.

Okrążyły z nieheblowanych desek zбитy stół, a ławki wokół tworzyły pięciobok. Dyrektor Frankisch za każdym razem powtarzał ten sam dowcip: *König Artus und seine Tafelrunde*. Któż to był Artusem? Chyba nie sam gospodarz, ksiądz Kudrys, który u siebie w swoim więcej warzywnym niż kwiatowym ogródku za plebanją, aż we dwoje się łamał w gościnnym gościu. Nie podawano

tu zresztą wina w «krużach», tylko kwaśne mleko w glinianych hladyszkach. A przed każdym gościem brzuchaty, malowany w kwiatki garnuszek. Gospodyni proboszcza, chuda i dobrze już w latach, dowodnie świadczyła o innej jeszcze abstynencji proboszcza. Zaczem brakło podniety do lekkich rozmów i goście mieli do wyboru albo szachy, albo warcaby.

Rakuski, stawiając czarnego pionka, z lubością rozcierał językiem o podniebienie gruzły zsiadłego mleka. Jego ciche mlaśkanie drażniło psa, który ziewał, aby jakoś ukryć przed ludźmi swoją oskomę. Drobnny, suchy szelest liści starej gruszy, dawno już nie rodzącej owoców, strząsnął znienacka szarego kota na pochyłe plecy profesora Gablena. Nie dobrze jednak trafił kot, bo Gablen wzdygnął się ze wstrętu, gdy wysoko podniesiony ogon połaskotał go w kark i w ospowaty policzek. Ksiądz Kudrys, dobierając kratki dla swojej wieży, zapsykał: — A ksss — i kot, miauknąwszy grubo, przeszedł po stole, aby doznać bardziej życzliwego przyjęcia u doktora Goldmanna. Kiedy lekko dotknął ud Goldmanna, wiedział, że tu czeka go już napewno wytrwała i umiejętna pieszczota. Przysiadł więc, odrazu ciężki, poddając głowę głaskaniu grubych i ciepłych palców. W ten sposób zlikwidowane zostało zagadnienie kota i Gablen mógł uważnie śledzić bieg gry. — Partacze — myślał w duchu — koni już obaj nie mają, więc jakże sobie dadzą radę bez «jazdy»? — poczem grubo nasmarował masłem kawałek chleba.

Tego już nie mógł wytrzymać pies, mimo postanowienia, że nie okaże ludziom swojej prawdziwej natury. Jego silna woła załamała się z chwilą, gdy dosłyszał żucie, gdy kwaśny, żytni zapach dotknął jego wilgotnego nosa. Wprawdzie ziewnął jeszcze raz, ale zakończył ziewnięcie żalosnym skowytom. Czarne wargi zapłynęły śliną, w gardle zagruchały, zawarczały niecierpliwe psie prośby. Ksiądz Kudrys, pozbywszy się wieży, wziął w palce kromkę chleba i zawołał krótko: — Łap! — Prawie jednocześnie usłyszano klapnięcie psich szczęk i dyrektor Frankisch, który miał tajemniczą, bodajże oficerską przeszłość, doszukał się analogji dźwięków: — Jak nabicie karabinu i wystrzał — klap — klap — paf — paf!

Rakuski, zapowiedziawszy: szach! — zukosa błysnął ku Frankischowi. I chyba tak było, że każdy z obecnych wyteżył wyobraźnię, żeby ześcibić plotki, wersje i gadki o przeszłości dyrektora Frankischa. Nieco już pulchna postać jawiła się więc kształtem zgrabnego porucznika, który gdzieś tam podobno za jakieś mło-

dzieńcze figle, czy nawet za tchórzostwo pod Solferino... Musiały jednak działać protekcje, może nawet wysokie — ho — ho — bardzo wysokie, skoro Frankisch w cywilnej karierze doszedł do tak pięknego stanowiska. Ponoś arcyksiążę Karol Ludwik! — Wiedział coś o tem Rakuski i dlatego nakrapiana bródka dyrektora borskiego gimnazjum posiadała dla niego niejaką cenę.

Skoro zatem szach, to i wkrótce matem wykrzyknął Rakuski. Ksiądz Kudrys, przyjąwszy w pokorze porażkę, przekazał gości płynnej wynowie profesora Gablena. Gablen bowiem z uwagi dyrektora o karabinie, począł robić obliczenia, aby nieomylnością cyfr wykazać, że zeszłoroczna klęska Austrii była nieunikniona. Cokolwiek mówiono o złej postawie wojska, o fatalnych błędach dowództwa — jedno jest tylko pewne, że sprawność broni pruskiej, że karabin bez stempla, że to ten szybkostrzelny karabin iglicowy wygrał wojnę. Gablen zaperzył się, jak to czynią ludzie zazwyczaj ściszeni i niemrawi, gdy ich ktoś wreszcie wyprowadzi z równowagi. — Technika, chemja, matematyka! — jak zwycięskie pułki pchał to wszystko w przyszłość. Jego cera, zbrudzona znakami po ospie, stała się krasa, skąpy wąs zjeżył się, ale Gablen już przypomniawszy sobie, że alteracja może zaszkodzić zakatarzonemu jelitom. Urwał więc w połowie słowa, nasłuchując czy kwaśne mleko nie burczy w kiszka. Oczywiście burczało, wszyscy mogli słyszeć ten głuchy bulgot, i tylko doktor Goldmann sądził, że to kot tak mruczy, wdzięczny za pieszczotę.

Tymczasem zachód słońca spadał czerwonym refleksem na łysinę księdza Kudrysa. Po niebie rozsypał się krzyk kawek, ciągnących do swoich odwiecznych gniazd na drzewach starego cmentarza. Skwir lecących nisko jaskółek wzburzył kota i Goldmann poczuł jego ostre pazury w swoich udach. Strąciwszy niewdzięcznika z kolan, powiedział bez gniewu; — *Die Bestie kratzt* — i zaraz przywabił psa do siebie. Ciepła głowa ułożyła się płasko, szorstkie, krostowate uszy starały się przybrać kształt skrzydełek ptasich. Goldmann nieświadomie zmienił metodę pieszczot. Ruchy palców stały się brutalniejsze, cała dłoń mogła już brać udział w przekomarzającej się czułości. Oczy doktora zetknęły się z dowcipnem, mądrym spojrzeniem żółtych źrenic i warto było powiedzieć parę słów do tej rozumnej bestji, której na imię było « Figlas ». — *Figlas — du hast eine Seele, bist gut und treu, Figlas.* — Doktor Goldmann, posługując się szablonową charakterystyką psiej duszy, sprowokował Rakuskiego.

— A jednak nasz konsyljarz używa niekiedy tego terminu : dusza! *Anima!* Bodaj psu ją przyznaje, zaprzeczając człowiekowi jej posiadania. Gdzież tu logika! — zawołał — uczyliśmy się przecież logiki w gimnazjum! — Zaraz też ocknął się Gablen, aby liczbie wywalczyć rozstrzygające znaczenie. Metafizyczne, gadatliwe pojęcia przyjęły wdzięcznie ten sukurs. Daremnie obwoływał teraz Goldmann swoje « *cogito, ergo sum* »!, gdy Rakuski, jak kłódką, zamknął mu usta — Spinozą, współwyznawcą. — *Seine mathematischen Schlüsse, sein* « *Modo geometrico* » — bodaj już po niemiecku atakował Rakuski, choć Goldmann nadął się dumą na sam dźwięk nazwiska filozofa-Żyda.

Nie lubił tych trudnych sporów gospodarz, mimo, że wszystko za sprawą Rakuskiego zmierzało ku chrześcijańskim pojęciom etycznym. U stóp Boga lądował Rakuski — ej, czy nie zanadto narzucał się Panu Bogu? Ksiądz Kudrys nie pohamował go jednak w nabożnym rozpędzie, z obawy, żeby nie zdradzić się nieuctwem. Nękała go zresztą w tym czasie depresja. « Owieczki », odstraszone apelami proboszcza do serc i kieszeni, uciekały z Fary do ś-tęgo Mikołaja na barwne kazania kanonika. Krauzowa wyjechała do córki i sprawa domu sierot utknęła — może nawet trzeba ją będzie zostawić do przyszłej wiosny. Z obecnym burmistrzem nie można było dojść do ładu, poprostu nie chciał użyzyć ani łokcia z miejskich placów pod budowę tego domu sierot. Pocóż miał się angażować, skoro jesienią przyjdą inne władze? I tak od lat nic nie znaczył w mieście, więc przynajmniej biernym oporem, odmową, przeszkadzaniem dawał się we znaki, żeby wiedzieli, że póki co — burmistrzem tu jestem!

W takich myślach pogrążył się ksiądz Kudrys, nie wiele wiedząc o Schopenhauerze, Heglu, Comcie, których bez omyłki cytował Rakuski. Jeżeli więc Gablen umiał doskoczyć cyframi, ksiądz Kudrys i dyrektor Frankisch jedynie uśmiechem dawali znak życia. W tem jednak różniło się znaczenie uśmiechu, że ksiądz Kudrys dźwigał w sobie ciężko i odpowiedzialnie świadomość duszy, podczas gdy Frankisch z dawnym, oficerskim lekceważeniem spraw ducha i myśli, jedno wiedział: « *Alles ist Wurscht, alles ist Schmarren!* ».

Nad wielorakiemi racjami zaszło cicho słońce i cieniutki brzęk komarów przywrócił supremację ciała. Rakuski zapalił papierosa, aby dymem rozpędzić roje, które tu nadciągały od wilgotnych traw starego cmentarza. Gablen oganiał się chusteczką, przechwa-

lajac się, że komary go lubią, bo ma słodką krew. Podjęto zatem temat — krwi. Jednego lubiły osy, drugiego pchły, pszczoły, mrówki wszelakie polne i domowe robactwo. Niemal współzawodniczone, kto bardziej do smaku żarłocznym insektom, kto składnikami swojej krwi lepiej dogadza żądłom, ssawkom, pyszczkom. Poruszyły się jakieś kłótnie i przekorne ambicje. Kłuci, cięci, gryzieni — cenili sobie takie cierpienia, może dlatego wyolbrzymiając męczeństwo, żeby przechytrzeć przyrodę, żeby drobnostką okupić się niebezpieczeństwem, które przecież na każdym kroku grożą ciału i krwi człowieka.

W tych czasach szczególnie trzeba było o tem pamiętać i czuwać nad sobą. Gablen ani na moment nie zapominał, połykając pigułki Morrisona, aby uodpornić się przeciw cholerze. Goldmann jednak, posłuszny nakazom starostwa, nawet przed przyjaciółmi zatajał istotny stan rzeczy. Starostwo żądało chowania zmarłych w nocy, nie szerzenia paniki — niech medycyna robi co może *« ohne Aufsehen zu erregen, ohne die Gemüther zu hetzen »*.

Po zeszłorocznych doświadczeniach, taka była teraz « polityka » władz. Narazie więc, póki marli ubodzy na Budach, albo w żydowskich zaułkach, obecność patrolujących żandarmów tłumiła lament i płacz. Pomniejsze szynki nakazano zamykać wieczora, ale, mimo to, ludzie cuchnęli okowitą i rumem, a kto trunków nie znosił, zjadał się czosnkiem. Cuchnące oddechy ludzkie, ostrzegały o niebezpieczeństwie i temu nie mogły już zapobiedz tajne okólniki starostwa.

Jakże tu ludziom zakneblować usta, skoro i na Leszniowskiej były już trzy wypadki cholery, a na Lwowskiej co czwarty dom naznaczony. Doktor Goldmann mógł jednak z czystym sumieniem zapewnić Gablena, że w tym roku jest tylko 50 procent śmiertelności. Widać organizm umiał już bronić się, albo zaraza atakowała z mniejszą siłą. A może i to, że, dzięki akcji Komitetu Głodowego, biedota borska nie głodowała tak bardzo ubiegłej zimy, *also Lob und Dank* panu prezesowi Komitetu, księdzu proboszczowi.

Książd Kudrys nie zagarnął jednak całej pochwały dla siebie: — Z zamku mieliśmy wydatną pomoc, pan burgrabia ma tę zasługę przed Bogiem, że żywiliśmy biedotę i jeszcze żywimy. I mniej teraz nędzy, bo z wiosną ruszyły się roboty przy budowie kolei, także ruch budowlany większy, niż w poprzednich latach.

— Taki to ten ruch budowlany — odezwał się Rakuski z gęstniejącego mroku — Bażyński już ustaje, może nawet pod dach.

nie podciągnie, bo mu pieniędzy brakło. Mówił mi murarz Gawoński, że Bażyński zarwał robotników, że go dostawcy fantują. Jakże to brać się do takiej budowy młyna parowego bez grosza? Młyn parowy! — świetny pomysł, ale cóż? To dziwny człowiek, nikogo nie chciał dopuścić do spółki, licząc na to, że go teść wesprze. Ale teraz te hrabiowskie fortuny gotowym groszem nie śmierdzą...

Goldmann uważnie wsłuchał się w słowa Rakuskiego, aby dotrzeć do «ziarna prawdy». *So, so ist es* — Bażyński odrzucił ofertę pana komornika! To jednak może być również prawdą, że Bażyński bankrutuje. — Ludzie tracą zarobek — zmartwił się.

— O Ładnowskiego panu idzie? — Rakuski cmoknął papierosa. Ogień rozjaśnił jego twarz i Goldmann zobaczył lisi uśmiech. Coś takiego było w tym uśmiechu, co poniosło Goldmanna: — O Ładnowskiego, właśnie o Ładnowskiego się martwię! Na żebry pójdzie, czy co?

Frankisch trzepnął talją kart, którą niepotrzebnie wyjął z kieszeni. Nosił te karty zawsze z sobą, łudząc się, że kiedyś namówi kompanję na ferbla. Gdybyż mógł z oficerami u Stenglowej? Podawnemu z oficerami! Nie mógł — bał się, żeby mu któryś z tych oficerów nie dmuchnął w twarz o przeszłości, o zdartych szlifach — *ja — ja degradiert, sie waren ja degradiert!* Ładnowski — powiedział, miękcząc ze słowacka po polsku — Ładnowski, o ile wiem, to *eine degradierte Grösse*. Jego synkowie, ileż to ich mamy tych Ładnowskich w gimnazji? — Gablen poinformował służbiście: — Pięciu, panie dyrektorze.

Zaledwie wspomniano Ładnowskiego, już przeczuł ksiądz Kudrys wojenny nastrój swoich gości. Nawet sam jakby nieco się rozruszał, nigdy nie mogąc dojść do ładu z tą «wieczną bolączką» Borów — jak mawiał burgrabia. A tu Goldmann już wprost do księdza: — W Kluczu Borskim powinno się coś znaleźć dla Ładnowskiego. Co innego polityka, a co innego ludzkie uczucie — *ein menschliches Gefühl hat doch dieser Zabielski!* — Otóż kłopot dla księdza Kudrysa! — Ah — powiedział — nie wiem, burgrabia może zażądać — tego — tam — jak się to mówi — lojalności, zaniechania — tych — tam... Frankisch przeciął to jąkanie: — Właśnie synkowie Ładnowskiego, szepty po kątach w szkole, wybryki coraz bardziej niedopuszczalne! Dyrektor mówił powściągliwie, ale jakimże słowem zastąpić «niespokojne duchy», albo «nierozważne zamysły»? Nic łagodniejszego nie potrafiłby dyrektor Frankisch znaleźć na określenie tego, co w ostatnich czasach działo się w borskiem

gimnazjum. Chłopcy, wbrew karom, mówili w obrębie gimnazjum po polsku, abiturjenci na lekcji prostowali fakty zawarte w podręczniku. Wszystko to brało się z jednego źródła — od Ładnowskich. Oni pierwsi przynieśli do gimnazjum wiadomość o zamierzonej polonizacji szkół w Galicji, czytali zakazane książki pod ławką, pożyczali kolegom — *diesen* « *Pan Tadeusz* », *diese* — *wie sie dort heissen* — « *Dziady* ». Nie, Frankisch nie pragnął drugiej katastrofy w swoim życiu, choć niby było mu wszystko jedno — *ganz Pomadc*. Zapewne — walczył z uczniami w zakresie swoich uprawnień. Więc — drewnianka, które za karę kładło się przed mówiącymi po polsku, karcery niedzielne, albo nie zwalnianie z dydaktrum. Ładnowski w ostatnim semestrze musiał za wszystkich synów zapłacić dydaktrum. Zrobił to bez słowa protestu, choć chłopcy zdolni i dobrze się uczą.

Było już ciemno, ledwie przez czarne listki gruszy, przez dziwaczne zaploty sękatych gałęzi przeziarał granat nieba. Obecni mogli więc wyraz swoich twarzy zataić przed dyrektorem, który coraz odważniej ostrzegał przed niebezpieczeństwem. — Jakież znowu niebezpieczeństwo — zagruchał ksiądz Kudrys słodko, jak synogarlica — jakież tam niebezpieczeństwo, panie dyrektorze? — Goldmann westchnął głośno, Rakuski przełknął ślinę. Jeden tylko Gablen zakopany w ciemności, nito w grobie, ani odetchnął, ani się poruszył — jak przystało na nieboszczyka. Frankisch stylem urzędowego sprawozdania wysnuwał z faktów wnioski bodaj historyczne, choć jeszcze tak bliskie pamięci. Te same objawy, co w sześćdziesiątym drugim, trzecim i czwartym. W wyższych klasach są wąsacze, którzy już to skosztowali. Namiestnik nakazał wtedy patrzeć przez palce i spowrotem przyjmować do szkoły. Ale kto już raz spróbował wojska, wojny — *ja, das sind keine Schüler mehr!*

Tym razem głos księdza Kudrysa zaszeleścił jak jedwab: — Nieszczęśliwe dzieci, nieszczęśliwi chłopcy, panie dyrektorze! — Nie wiadomo było, czy dyrektor współczuł, czy może nawet gotów był zrozumieć i przebaczyć nieszczęśliwym. I on miał przecież niedocieczoną maskę nocy na twarzy, zdoławszy umknąć płomykowi siarnika. Ognik papierosa oświeślał tylko raz po razu cienie, kąśliwe wargi Rakuskiego.

Zdawało się, że już niema o czym mówić. Dyszały oddechy, zaskowyczał pies mocniej szarpnięty za uszy przez Golmanna, w jelitach Gablena znowu zaburczało przeciągle. I wtedyto niespodzianie odezwał się Rakuski. Jego wyraźna adwokacka dykcja niemal

krajała ciemność. — Powiedział pan, że kto raz zakosztował wojny, wojska — cóż? mundur nie skóra, można potem włożyć cywilny surdut, można się u — cy — wi — li — zo — wać! Znam takich, którzy wyskoczyli z munduru jak z procy, a mimo to znaleźli wygodne, ba, popłatne miejsce wśród społeczności. Należy przypuszczać, że stali się ludźmi cywilizowanymi, kulturalnymi. *Kulturmenschen*, panie dyrektorze!

Trwało dość długo, zanim Frankisch powierzył ciemności swoje wzburzenie: — Pan obraża armję, mundur — tak, nie kryję się z tem, że nosiłem kiedyś *des Kaisers blauen Rock* i będę bronić tej barwy — tak, bronić, choćby dlatego, że byłem jej niegodny. Cóż pan myśli — że na tem miejscu, że na tem mojem stanowisku, nie jestem jak żołnierz na posterunku? Ze to jakaś łaska, a nie ciągle jeszcze kara — kara... To gimnazjum, Bory, Galicja — za moje przewinienie, za karę!

Intonacja głosu była teraz nie gładka, profesorska, czy dyrektorska, ale gardłowa, oficerska. *Exerziersstimme!* Daremnie łagodził książd Kudrys, że — panowie, naco to, poco? Rakuski w duchu triumfował: — Tegom chciał, tegom był ciekaw! Binokle Goldmanna chwyciły blask jakiejś gwiazdy i nagle zaszczekał pies, a drzwi plebanji ustąpiły przed światłem wnętrza. Ktoś szedł szybko, prawie biegł po ścieżce, skrzypiąc obuwie. Światło, które miał za sobą, jakgdyby wypychało zarys jego postaci. Lityński! — zdziwili się. I zanim jeszcze gospodyni postawiła lampę na stole, zanim zmrużone oczy przyłgnęły do płomienia zamkniętego w bruchatem szkiełku, Lityński poraził wszystkich wiadomością. Zdyszany, jak goniec, który dniem i nocą biegł z pola bitwy, wyrzucił zrazu tylko to: — że wczoraj w Paryżu — w Łasku Bulońskim — strzelano do cara — do karety — nie zabito — nie zabito!!

Zerwali się z miejsc i wtedy każdy ujrzał jak znad starego cmentarza wyłonił się ogromny, czerwony księżyc i śpiesząc się w górę, jak piłka malał w oczach. I to widzieli, że nietoperz czarnym lotem przekreślił księżyc i że pies, zerwawszy się, nagle pobiegł w stronę cmentarza. Lityński mówił tymczasem, że to było tak: — Polak, prosty chłopak, nazwisko jego Berezowski. Strzelał do cara z dwururkowego pistoletu. Broń była zbyt silnie nabita i pękła po wystrzale. Berezowskiemu urwało dwa palce, a jedna z kul roztrząsała głowę konia, na którym jechał carski koniuszy. Krew obryzgała cara i następcę tronu. Publiczność omal nie rozszarpała Berezowskiego, bo podobno jedna z kul zraniła kogoś z tłumu.

Ale i to, i to jeszcze: gdy karetą przejeżdżała Laskiem Bulońskim: rozległy się okrzyki przeciw carowi. Adwokat paryski, jakże mu tam? — zdaje się Flocket — krzyknął prosto w twarz carowi « Precz z tyranem, niech żyje Polska! »

Lityński skandował słowa, że prawie ułożyła się z nich strofa, spojona tym okrzykiem, jak klamrą. A potem jeszcze każdy usiłował coś złować dla siebie, coś sobie lepiej wyjaśnić, czemś jeszcze mocniej się przerazić. Jeden tylko Gablen o nic nie pytał. Zęby szczękały mu głośno — bał się. Bał się przedewszystkiem spojrzeć na dyrektora Frankischa, który bezustannie syczał: — *Na, so was, na, so was...* Ksiądz Kudrys, zaniechawszy księżowskich gestów, chwycił Lityńskiego za ramiona, jakgdyby chciał wszystko, do ostatniego proszka z niego wytrząść: — Czy sam, sam był, czy z nakazu jakiejś tajnej organizacji? Czy to wyszło z emigracji, czy też może z kraju? Więc mówi pan, że prosty człowiek, że z Wołynia rodem? Może nawet chłop, z chłopskiej głodnej chaty?

Poczem znowu wszyscy umilkli. Lampa zaczęła kopcić zanieczyszczona ćmami, które srebrnym trzepotem wypadały z ciemności i wciągnięte płomieniem, spalały się na czarne płachetki. Niektóre lepyły do rezerwuaru z naftą i jak bibułka nasiąkały tłuszczem. Patrzący na to pobojoywisko, nie dostrzegali jednak ani męki ani śmierci. Nagle jakaś szczupła ręka weszła w kolisko światła i żółte palce ujęły mosiężny krążek u nasady szkiełka. Płomień porwał się wgórę, wystrzelił i zgasł. Przez jakiś czas trwał jeszcze zapach naftowego kopciu, prawie dostrzegalnego ciemniejszą smugą w rozrzedzonym i zielonawym od księżycy powietrzu. Księżyc, wyrównując kolory twarzy, powlókł wszystkie tą samą bledością. Nie wyróżniał się więc i Gablen, nie był w tej chwili gorszy od Rakuskiego i Goldmanna, który taksamo jak on dygotali na całym ciele. Jedynie dyrektor Frankisch przeżył się na baczność według musztry: « *Brust hinaus, Bauch hinein* » i nabrawszy pełne płuca oddechu, z oczami wyszłymi nawierzch, stał na posterunku w tych oto galicyjskich Borach.

SZCZĘŚLIWY KRAJ

Niejaki Edward Vliet, urodzony w Australji z rodziców Holendrów, został sierotą we wczesnem dzieciństwie. Został on przygarnięty i wychowywany przez angielskich przyjaciół rodziny i wreszcie dorósłszy zamieszkał w Lone River, w północnem Queensland. Lone River jest jedną z tych licznych australijskich stacji chowu bydła i owiec, które oddalone są o setki kilometrów od najbliższych osiedli ludzkich. Najbliższe miasto, Cooktown, jest oddalone o przeszło 430 kilometrów od stacji hodowlanej Lone River. Jedynie udając się do « miasta » można było kupić gazety, a przytem stacja Lone River nie posiadała odbiornika radjowego i jak z tego widać nie była ona związana żadnemi węzłami z resztą cywilizowanego świata. Potrzebne przedmioty, lekartwa itd z reguły dostarczane były na stację nie częściej, jak raz na pięć lat. Nic więc dziwnego, że dopiero w roku 1940, w rok po wybuchu drugiej wojny światowej Lone River odebrało wiadomość, że Wielka Brytania i dominja znajdują się w wojnie z Niemcami. O wybuchu wojny na Pacyfiku nie wiedzano również nic. Pewnego jednak dnia dostarczono na stację hodowlaną paczkę, a paczka ta była zawinięta w kawał ilustrowanego pisma. Ten kawałek ilustrowanego pisma był jakgdyby błyskiem światła. Dzielnny Vliet nie wahał się ani chwili. Wsiadł na konia i po sześciu tygodniach wytrwałej jazdy dotarł do miasta Cairns. W ciągu następnych pięciu miesięcy dotarł do Melbourne, gdzie ostatecznie w listopadzie 1943 roku mógł zgłosić swą chęć wstąpienia do wojsk holenderskich.

Dopiero tam i wtedy dowiedział się młody człowiek, że również Australia jest w wojnie z Japonią i że istnieje wojsko australijskie. Nieporozumienie polegało na tem, że ilustracja przedstawiała żołnierzy holenderskich w walce z Japończykami, słowem nie wspominając o udziale Australji w wojnie. Małomówny Vliet przez cały czas, jadąc to na koniu, to wędrując pieszo, przez całą drogę interesował się tylko tem, gdzie i iak może zaciągnąć się do szeregów wojsk holenderskich.

PROPAGANDA

W jednym z miast Ameryki w kabinie telefonicznej popularnej restauracji ponad aparatem telefonicznym wypisane było dużymi literami żeńskie imię Mabel. Pód imieniem znajdował się numer telefonu. Ten kto pospieszył się zatelefonować do owej nieznaney Mabel, słyszał w telefonie miły głos kobiecy, który mówił « Niech pan nie zapomni subskrybować amerykańskiej pożyczki wojennej ».

LEONARD KOCIEMSKI

POLSKI CZERWONY KRZYŻ

[Fragmenty]

Tym z moich współpracowników,
którzy wytrwali do końca.

*Bez przymusu, bez mundurów i bez rang
do walki stanęlim —
żołnierze
dobrej sprawy.
Nie pytalim
kto losy Ojczyzny naraził na szwank,
kto czerpał korzyści i kto, w dobrej wierze,
błądził udziałem
w innych ciężkiej winie...
Świadomi, iż rzucą w nas
kamieniem niestawy
jęlim się twardej pracy
aby nie zdrętwieć na zawsze w beczynie!*

*Już polakom do walki własnych ziem nie stało,
już wróg wdarł się na szançe Warszawy,
już zamilkła obrona w Modlinie,
już przebrzmiały
ostatnie
obrońców odstrzały
na Helu...
a jeszcze w całym kraju grały
echa armat rozgwaru
i bili się jeszcze w Karpatach górale...
a już —
wędrowką bez celu —
gnane rzesze uchodźców jęły na obczyźnie
krzewić kłótnie
i swarów poid się blekotem...
Zdławiłim w sobie potępieńcze żale,
gdy dzieje polskich losów poszły dróg nawrotem ;
zaprzęglim się do pług
w dusz ludzkich przeorcie...
Cóż warte życie
gdy służyć nie można Ojczyźnie,
skoro, wśród obcych,
znowu łopocą pod wiatr polskie proporce..*

II

*Nie wśród tanków łoskotu,
nie wśród gradu kul
los nam zwolił odcinek...
W dziejowym rozświcie
dobywać miałim zasoby z pustego lamusa,*

żebrac
i zbierać zapomniane szczęty
i ratować bliźnich życie...
Roił się wokół nas nienawistnie ludzki ul
paniczną ^ztrwogą o jutro przejęty.

Ileż to razy w wyciągniętej ręce
czaił się egoizm hamowany strachem
a zdolen do wszystkiego...

Ileż razy
jawiły się w przebłytku oczu
najpodlejsze instynkty zwierzęce
rozbudzane każdym darowanym łachem,
którym nie ten
a inny bliźni
krył sterany grzbiet!...
Ileż razy widzielim, jak płaskim pochlebstwem
starano wydrzeć z naszych rąk jałmużnę,
jak żonglowano skargami, oszczerstwem...

[Ktoś pomstował
wietrzył zdrady — wyklinał,
zeznań stosy gromadził nie szcędząc pieniędzy
byle tylko gotować dowody na sąd...
Inny kark już pokornie przed wrogiem ugiął,
inny znowu żerował
na polaków nędzy
i krzewił nienawiści potępieńczy trąd!...

Byli tacy ubrani w słów senacką togę,
zawodowi zbieracze zasług, co hojnymi usty
rozdawali zgłodniałym i chwiejnym, jak wiatyk na drogę
rad przeróżnych błyskotliwą brzędę...

*Byli inni w nieróbstwie własnym zasklepieni,
twórczych krytyk wyznawcy bluzgający błotem,
zawdy w słowach gotowi do naprawy świata...
Tak nad łanem wysoko chwieje się kłos pusty
gdy pełne ku ziemi
chylą pod wiatrem okiście...]*

*Rozbiegli się polacy po świecie —
jak liście
gnane w przestrzeń dziejową zawieruchą...*

III

*Nie jest łatwo
spragnionym dać dzban czystej wody —
a zgłodniałym kęs chleba —
a strwożonym otuchę
a błądzącym wśród manowców
wskazać dobry cel!...
Pośród skwaru dla siebie nie znajdziesz ochłody
gdy na ludzkie nieszczęścia serca wszędy głucho
a czerń skąpstwa
przybiera się w hojności biel...*

*Nie jest łatwo spragnionym dać dzban czystej wody!...
Takie są już wieczyste ludzkich zmagañ losy.
Dopust Boży ujawnia w ciężkiej życia chwili
miarę ludzi...
A gdy już dopełnień szala się przechyli,
gdy świt wolności zagnała
krasą barw się budzi*

znów widzimy nad tanem
wysoko — puste kłosa!...
Znów fatsu płytki sprawuje swe codzienne gody
łyszcząc blichtrzem pozłoty
i szafując mianem
bohatera —
zasłużonego patrioty...

Bez przymusu, bez mundurów i bez rang
w szeregu stanęlim do walki —
żołnierze
dobrej sprawy.
Nie pytalim kto losy Ojczyzny
narażał na szwank —
a kto działał
jeno w dobrej wierze...
I nie nasza to wina
żeśmy tylko sercem byli na szanłcach Warszawy,
śróđ obrońców Modlina,
śróđ poległych na Helu...

Gdy wybije na dziejów zegarze godzina
zdamy raport żołnierski
i zginiemy w masie
ludzi szarych
drogą cierni idących wciąż w zwyż...
A nad naszym odcinkiem
pozostanie w czasie —
symbol wiary
zbratania —
Polski Czerwony Krzyż!

Rzym w lutym 1941 roku.

HENRYK VOGELFANGER

W NASZYM KOCHANYM LWOWIE

Szczepko: Serwus, Tońcio, co ty robisz?

Tońko: Ao! « Złapałym » jakiś gazety i czytam.

Szczepko: A która « tera » godzina?

Tońko: A będzie pół do « jedynasty ».

Szczepko: To dobrze! Ja pójde poszukać jakiejs roboty i « akuratni, jak wrócy po obiedzie o piątej, to ty przeczytasz do tej pory z dziesięć linijki ».

Tońko: « Nie wyśmijaw si » ze mnie, ino « siędnij » sobie tu koło mnie i powidź, co to ma znaczyć. Tu napisane, że « Lwów oddano do naprawy ».

Szczepko: To « nimożliwi! ».

Tońko: No, ja chyba czytać « umim ». Mam skończone dwie klasy szkoły « powszechny ».

Szczepko: Nawet nie gadaj o tem, bo wstyd, że tak mało.

Tońko: A « ili » ty masz klas?

Szczepko: Trzy.

Tońko: No, to te dwa nasze wstydy tak daleko od siebie « nie uciekli ».

Szczepko: No, mniejsza! Pokaż, co tu napisane... « Statek Lwów wymaga z powodu zużycia szczegółowego remontu. Lwów oddano do naprawy ».

Tońko: No widzisz?

Szczepko: Tak widzę, że ty wszystko zaczynasz od końca. Gdybyś czytał od początku, to byłbyś się domyślił, że tu się « rozchodzi » o okręt « Lwów », a nie o miasto Lwów.

Tońko: Aha! To prawda! Ale dlaczego « akuratni » « Lwów » nazwali ten okręt. Taki « malentki » okręt nazywa się tak samo, jak « wielgie » miasto.

Szczepko: A to mądre «pospytani!»». Przedstaw sobie! Jedzie taki okręt po morzu, jedzie, jedzie... aż zajechał do Chin. Chińczyki siedzą, «patyczkami» ryż jedzą... patrzą, aż tu okręt płynie. Pytają się, co to za okręt i słyszą, że to okręt polski — a nazywa «si» tak, jak jedno «wielgie» miasto polskie, «Lwów!»».

Tońko: Aha!

Szczepko: Jedzie ten okręt dalej. Zajechał do Afryki. A tu murzyny chodzą, różne banany, kokosowe «orzechi» i «daktyli» «zbirają» i znowu widzą ten okręt — «Lwów». «Pospytują się», co i jak, rozmawiają z naszymi marynarzami...

Tońko: Jaby nie umiał z murzynem gadać!

Szczepko: Murzyn «wcali» ciebie o to nie prosi. A nasi marynarze już sobie radę znajdują. Wezmą «w ostatecznym razie» tłumacza, to im przetłumaczy.

Tońko: Aha! Ze ja na to odraz «nie wpadnął!»».

Szczepko: A widzisz! I tak od słoweczka do słoweczka, od słoweczka do słoweczka — dowiadują się te różne murzyny, Chińczyki, Japończyki, Turki, Angliki...

Tońko: Ty mi nic nie mówił przedtem o Turkach i Japończykach!

Szczepko: Tybyś chciał, żeby ja tobie wyliczał «wszystki» narody świata. Polskie okręty wszędzie jadą!

Tońko: To «śliczni!»».

Szczepko: Pewnie, że «śliczni». I te narody dowiadują się, że jest w Polsce miasto Lwów, «chtóre» ma więcej, jak trzy razy po sto tysięcy obywateli i że w tem «mieści» są co roku Targi, że «si» nazywają wschodnie».

Tońko: No to co im z tego, że wiedzą?

Szczepko: O to bardzo mądre «pospytani!»». Akurat do Tońcia «pasuje». Jak ludzi dowiedzą si, że są takie «Targi Wschodnie», to zaraz przyjeżdżają do nas do Lwowa.

Tońko: A tak, tak! Ja nawet sam widział jednego roku Japończyków na Targach, no i ja nie wiedział, skąd oni się tak «odraz» u nas wzięli. Mówili mi, że byli nawet «Amerykany».

Szczepko: Przyjechali do nas, żeby stąd zabrać do siebie nasze zboże, śliczne «materji» na ubranie, «dobry słoniny» i bekony, nasze lokomotywy...

Tońko: Taż to serce człowiekowi może «pęknuć!»».

Szczepko: Dlaczego?

Tońko: Ze żalu!... «Jaby nic tego nie dał». Lwowa bro-

niłem, bo nasz i nie dałem wziąć, to naszego dorobku też nie dam.

Szczepko: Ali Ty durny « jezdeś », Tońciu. Oni tego ni za-
birają za « bezdurno ». Za to znowu oni przywożą do nas te, o,
różne rzeczy, « że u nas nie rosną albo nie wyrabiają ».

Tońko: Co? Co?

Szczepko: « Ao! ». « Jedne » przywożą wielkie maszyny,
« insze » znów banany, « że u nas nie rosną », daktyle, figi, wi-
nogrona słodkie, kokosowe « orzechy »...

Tońko: Rodzynki...

Szczepko: A widzisz! Ty czasem coś także « wiesz », ino z
ciebie trzeba wyciągnąć. « Inszy » narody znów nic nie przywożą,
tylko kupują to, co my zrobimy i zostawiają za to pieniędzy dużo.

Tońko: To co ja mam z tego? Oni zostawiają « piniędzy »
kupcowi, a ni mnie!

Szczepko: Ni gadałbyś taki « głupstwa ». Jak kupiec ma
« piniędzy », to ty « tyż » masz.

Tońko: Jakoś to mnie w głowie nie « pasuji ».

Szczepko: Jak kupiec zarobi dużo pieniędzy, to « zara » robi
duży sklep.

Tońko: No!

Szczepko: Jak « robi » sklep, to potrzebuje robotnika, żeby
mu śliczni « front » sklepu wyprawił i bierze ciebie do roboty,
bo ty « jezdeś » murarz. Potrzebuje polakierować półki w sklepie,
bierze mnie do roboty, bo ja lakiernik. « Nusi » zarobi, bo on
stolarz i tak « wszyscy » zarobią i mają z czego żyć.

Tońko: Jak to « śliczni » jedno z drugiego wychodzi!

Szczepko: « A tera weż tak »: — « Przyjżdz » taki Chiń-
czyk na ten przykład do Lwowa na Targi Wschodnie...

Tońko: Kiedy?

Szczepko: « Mniejsza o tego », kiedy.

Tońko: To nie jest mniejsza, bo jaby się chciał na niego
« popatrzeć ».

Szczepko: Mnie si nie o to « rozchodzi ». Przyjżdz ten
Chińczyk i zajiżdz do hotelu. Hotelarz zarabia, chce coś zjeść,
idzie do « restauracji », « restawrator » zarabia, jedzie z miasta
na Targi « awtomobilim », szofer zarabia, i tak o « wszyscy polski
lwowski » kupcy i « robotniki » zarabiają i « zadowolnione so ».

Tońko: A jak jakiś polski kupiec z Warszawy, « abu » z
Krakowa, abu ze Stanisławowa chce tutaj coś jakiemuś Turkowi
abu Francuzowi sprzedać i zarobić, to nie może?

Szczepko: « Czego ni? ». Wszystki kupcy z całej Polski od Worochty aż do morza, do Gdyni i Gdańska mają swoji « pawilony » na Targach Wschodnich i pokazują « inszym » narodom, co oni w Polsce zrobili i co mają na « sprzedaż ».

Tońko: No to co Lwów « specjalni » ma z tego?

Szczepko: « Zara » będziesz słyszał, co mają z tego. Ty widział na Targach Wschodnich Panoramę Racławicką?

Tońko: Może sto razy.

Szczepko: A Wysoki Zamek ty widział?

Tońko: Ohoho!

Szczepko: A Park Kilińskiego znasz? A Wały « Hetmański », a « Tyjater » ty widział? A « ponik » króla Sobieskiego i Mickiewicza?

Tońko: No « z całą z pewnością! ». Przecież ja we Lwowie urodzony!

Szczepko: I spodobało si tobi to wszystko?

Tońko: Straszni!

Szczepko: « Przystaw » sobie « tera », ty to widział może sto tysięcy razy, a taki obcy « gość » jak widzi to pierwszy raz.

Tońko: Podoba mu si...

Szczepko: « Właśni! ». I później on « wyjżdża » do swojego kraju i « bałaka » swoji żoni, dzieciom », znajomym i wszystkim, że on był w Polsce w takim mieście, że si nazywa tak, jak ten okręt polski, co do nich przyjżdża « Lwów », że ten Lwów to śliczne miasto, wielgie miasto. Opowiada im o tem, że ten Lwów już sześćset lat stoi, że tam po polsku « bałakają » ludzie...

Tońko: Że tam mieszkają « batiary » lwowskie, że to miasto straszni, straszni... kochają...

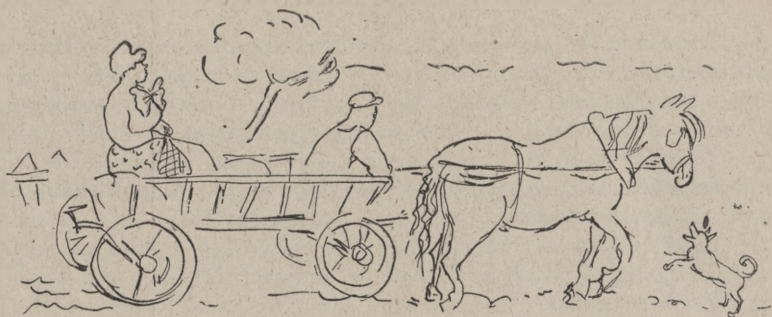
Szczepko: I że tam jest jeden cmentarz... śliczny...

Tońko: I bardzo smutny...

Szczepko: Gdzie leżą te « lwowiaki », co « swojego » polskiego Lwowa oddać nie chcieli...

Tońko: I nie oddali!





Rys. K Domańska

MARJA KONOPNICKA

MARJANNA W BRAZYLJI

Nowela ta została napisana przez Marję Konopnicką w okresie wielkiej emigracji ludu polskiego do Brazylii w końcu XIX i z początkiem XX wieku.

Ile razy spojrzę na «Listy Dygasińskiego z Brazylii», a pomyślę, jaką to on przeszedł biedę, nim się z ludźmi tamtejszemi porozumieć zdołał, tyle razy żałuję, że zamiast udawać się do konsulów, do dziennikarzy, do inspektorów i do hrabiów, nie udał się Dygasiński prosto do Marjanny.

Marjanna byłaby dla niego nieoszacowanym skarbem. Objaśniłaby go najakuratniej o wszystkim: co? jak? a nadto, wyprowadziłaby go z wszelkich językowych trudności.

Trudności te nie sprawiały Marjannie nigdy żadnego kłopotu: poprostu nie istniały dla niej.

Kiedy pani jej, zaraz po przybyciu, posłała ją do wspólnej hotelowej pralni, oddanej do użytku gości, którzy mając własną służbę, sami chcieli zajmować się praniem swej bielizny, po portugalsku « *ropa* », a właścicielka przyszła objaśnić o czasie i kolei prania — Marjanna, nieprzywykła żehy jej kto do balji nos wtykał, pobiegła na górę cała w ognjach:

— A jaki też ten naród tutejszy spierny, proszę pani, to niech ręka boska broni! Ledwo stanęłam u balji, zaraz tam przyleciała jakaś jędza i dalej na mnie: Ty taka! ty owaka! Ja tu nie myślę robić prania z całej Europy!

— Czyż podobna?

— Przecie! wyraźnie słyszałam, jak wykrzykiwała: że nie myśli ludziom z całej Europy prac. Tak ja jej na to: moja pani, jeśliś pani, bo ja tam twego państwa nie widziała! My tam nie z żadnej Europy pochodzące, tylko, z Dąbrówki, z guberni smoleńskiej! Papiery na to są! Rozumiesz pani?

— No i co?

— A cóż, zara jej buzia zmałała, zabrała się baba i poszła! Istotnie, Marjanna była z Dąbrówki.

Nie żadna emigrantka, broń Boże, gdzież tam! Z Dąbrówki wysłała ją starsza pani panience, która była w naukach aże we Francyi, w samym Paryżu, i za mąż za pensylwańczyka, prowadzącego interesy wielkiej paryskiej firmy, do Brazylii wyszła.

Wyszła, ale « nie miała wskórania », jak opowiadała Marjanna. Słaba była, tęskniła, a nadewszystko rady sobie dać nie mogła z murzyńską niechlujną służbą.

— Mamo — pisała do Dąbrówki — gdyby tu była Marjanna!

— A cóż? Możeby i wysłać Marjanę?

Szło o pensylwańczyka, jak ten projekt przyjmie. Był to skrupuł zbyteczny całkiem. Dzielnny pensylwańczyk miał sobie za miłe, za najmiłsze, wszystko co pochodziło z Dąbrówki, z gubernii smoleńskiej, ba, i ze wszystkich dalszych. Jeszcze, jako narzeczony, kupił on był sobie słownik polsko-niemiecko-francuski i pilnie studjował niektóre drobiazgi polskiej literatury bieżącej. Co większa, nietylko żądał, aby do niego pisano z Dąbrówki po polsku, ale nawet sam się puszczał na pisanie małych liścików w tymże, upodobanym przez siebie, języku. Z tego to czasu pochodziła owa kartka, będąca rozkoszą narzeczonej, bawiącej wtedy u matki, kartka, która po kilkakrotnych darciach i przepisywaniach, oraz po móżolnej kwerendzie w słowniku, tak brzmiała:

« U nas lało i wiało nader silnie. Kocham ciebie nader tkliwie ».

Otóż, wbrew spodziewaniu, kiedy przyszło radzić się pensylwańczyka, co do wyboru służącej, projekt wysłania Marjanny o mało że nie upadł całkiem.

« Mielibyście z niej wielką pomoc, — pisała matka z Dąbrówki — sługa z niej dobra, wszystko robi, pierze ».

Na nieszczęście... ale były dwa nawet nieszczęścia. Pierwsze, iż przecinek między « robi » a « pierze » przepadł gdzieś bez śladu, czemu się, przy tak długiej, a do tego mozolnej przeprawie, zgoła nie sposób dziwić; a drugie — że młodej pani nie było wtedy w mieście, kiedy list ten przyszedł. Zły klimat wypędził ją do Petropolis w góry. Dzielnny pensylwańczyk, sam się tedy zabrał do odczytywania listu.

Odczytał i zrozumiał wybornie. Tego tylko nie mógł pojąć, dlaczego mu matka chce przysłać fabrykantkę zamiast sługi? Zajrzał do słownika raz, zajrzał drugi raz: jak wół wyraźnie stoi: pierze — **Federn. plumes.** Z tego nie był kontent. Po licha mu służąca z taką specjalnością?

Odbywszy tedy odpowiednie studia, tak w małej kieszonkowej metodzie, jak i w słowniku, odpisał do Dąbrówki w tych słowach:

« Dziwię się nader silnie, że kochana Mama wybrała nam tę służącą. Będzie ona fabrykowała pióra, zamiast pilnować domu. Nader tkliwie całuję ręce mamy ».

Upłynęło parę miesięcy, nim się porozumiano i nim się znalazł ów przecinek w drodze zaginiony.

Tymczasem młodsza pani pisała, a pisała; list za listem gonił.

« Mamo droga! Bez Marjanny rady sobie nie dam Mamo kochana, proszę o Marjanę, bo się tu zamęczę, zadreczę z tymi murzynami! ».

Co było robić? Nie było co robić! Marjanna jechała do Rio.

Podróż ta przedstawiała jej się tak co do kierunku, jak i co do trwania swego, dość mętnie,

— Jeszcze gdzieś za Częstochową! — odpowiadała organiście i ekonomowej, które się o Brazylię pytały.

W dzień wyjazdu ubrała się też tak, jak się zwykle wybierała na wielkie doroczne odpusty. Wzięła na siebie nową kamlotową suknię, na to watowaną jupkę, na to dużą swoją paradną chustkę derową; zaczesła siwiejące włosy na wysoki grzebień, przykryła je czarną kordonkową siatką, na siatkę włożyła aksamitny kapelusz, który ją zaszczytnie wyróżniał już od lat piętnastu z pośród gawiedzi wios-

kowej w każdą niedzielę na sumie; włożyła bawełniane mitynki, jedną rękę okręciła kokosową koronką i wzięła w nią książkę do nabożeństwa, w drugiej rozwiesiła chustkę białą do nosa i stanęła gotowa do drogi — za morze.

Pożegnawszy państwo, dzieci, służbę pokojową, wychodziła już za próg, kiedy zobaczyła ulubioną kokoszę ze świeżo wylęzonym drobiazgiem. Wróciła tedy raz jeszcze, sypnęła jej suto pośladu, Marynie obiecała, że ją za łeb wydrze, jeśli kania choć jedno z małych kurcząt chwyci, zajrzała do maciory, porachowała prosięta, uchyliła drzwi od karmnika, gdzie pochrząkiwał podpasany na kiełbasy wieprzak, nawymyślała Zuźce, że nie wygarnia z koryta wczorajszego jadła, i szeleszcząc wykrochmalonemi spódnicami, do krów, do obory poszła.

Dotąd trzymała się mężnie; ale kiedy Krasula zaryczała, a Kwiatucha obejrzała się na nią, opuściła nagle Marjannę moc ducha, a małe bure jej oczki silnie mrugać zaczęły. Teraz dopiero poznała co to jest rzucać przyjaciół. Byłaby się nawet rozpląkała może, ale zajeżdżający w tej chwili przed oficynę Wicek, zawadził o sernicę, na której ociekał świeżo ogrzany twaróg i omal nie wyrzucił całego kramu.

To ją otrzeźwiło natychmiast. Jak stała, tak nie dbając na swoją toaletę skoczyła, Wicka zwymyślała, prasę z twarogiem naprostowała, psa który do serwatki milczkiem podchodził kopnęła, a tymczasem dziewczki rade, że gospodyni w « tyłośny świat » rusza, i choć ze dwie niedziel pomstować o byle co nie będzie, spieszenie zaczęły węzełki jej wynosić, a w rękę ją całować, a fartuchy do oczu przykładac, jako że niby taka je żałość spiera. Marjanna także się udobruchała, Zuźkę i Marynę pocałowała w głowę, pogłaskała kota, pogłaskała Rozboja i głośno się przeżegnawszy, zapadła w grochowiny zasłane kilimkiem.

Zaraz przecież od krzyża wracać chciała, bo jej się zdawało, że gęsi Maćkowe między dworskie wpadły i że je odżerają na ściernisku: ale się Wicek uparł, koniom po bacie dał i ruszyli naprzód. Kiedy Marjanna stanęła w Warszawie, okazało się, że jakoś trudno z nią będzie. Nietylko bowiem ani słowa po niemiecku nie umie, ale się gniewa jeszcze, kiedy ją o to pytamy.

— Ja? Jabym zaś po szwabsku miała, z przeproszeniem, szwargotać? Tfu! z przeproszeniem! Czy ja to nie katoliczka? Czy do spowiedzi nie chodzę, czy co?

A tu w Hamburgu, gdzie właśnie szła jej droga, nie znaleźmy

żadnego polaka. Nie było rady, chyba Marjannę opisać i agentowi znanego domu handlowego listem ją polecić, żeby nie przepadła gdzie w mieście, i we właściwym czasie na okręt dostać się mogła.

Opisać? hm!... Ale jak ją tu opisać? To, że była niska, krępa, że miała bure, małe oczki, nos kaczkowaty i pocziwą twarz czerwoną a świecąca, zdawało nam się niedostatecznem jakoś. Agent musi być o przybyciu Marjanny uprzedzonym, musi czekać na nią, poznać ją i zabrać z sobą. Trzeba ją tedy koniecznie czemś wyróżnić. Radzimy o tem, kiedy Marjanna spostrzegła wielkiego papierowego motyla na lampie.

— A to, proszę ja państwa mojego! — wykrzykuje — nie dobreby było?

Pomysł jej wydaje nam się zrazu tak komicznym, że wszyscy wybuchamy śmiechem. Ale Maryanna bierze to zupełnie seryo i gotowa jest paradować w motylu do Hamburga.

Odczepiamy go tedy od lampy i przypinamy Marjannie którą spogląda z zupełnem zadowoleniem na tę nową swoją ozdobę. Wielki, czerwony w złote centki motyl, tworzy istotnie jedyną w swoim rodzaju broszkę, Marjanna rozmawia z nami jeszcze chwilę ale od czasu do czasu patrzy ukradkiem w lustro; pewnem jest prawie, iż żałuje, że jej w tym stroju nie widzi ekonomowa i organiścina. Odprowadzona wreszcie przez bandę chłopaków, którzy myślą, że to «sztuki», siada szczęśliwie do wagonu i jedzie.

Jedzie bez żadnej niepewności, bez żadnego strachu. Dyga-siński, wybierający się w tęż stronę z listami polecającymi i w charakterze dziennikarza, nie miał, jak się okazuje z listów jego, tej wybornej równowagi umysłu, w jakiej utrzymuje Marjannę ów czerwony motyl. Okazuje się on skutecznym wszakże pod jednym tylko względem: agent domu handlowego istotnie czeka na Marjannę, poznaje ją po tym nieomylnym znaku, który wygląda zdala jak sygnał pożarny, i zabiera ją pod swoją opiekę. Ale trzeba nieszczęścia, że okręt tylko co odpłynął i że dwa tygodnie czekać trzeba na wyruszenie drugiego.

Kiedyśmy otrzymali tę wieść niepomyślną, ogarnął nas żywy niepokój. Co ona tam robić będzie w Hamburgu przez te dwa tygodnie, kiedy nie umie nawet Boga zawezwać w żadnym obcym języku? Oszuka kto, ograbi, a już że się niewygody nacierpi, to pewna. Ale odpowiedź przychodzi jak najbardziej uspokajająca. Marjanna zupełnie się obcem miastem nie czuje zakłopotaną; co jej potrzeba, to pokaże na migi, a kiedy kto jej zrozumieć nie

chce czy nie może, natychmiast palcem stuka w swojego motyla, którego ciągle na piersiach nosi.

W porcie, — pisze agent, — wszyscy już ją znają. Są tacy, którzy usługują jej nawet bardzo pilnie, myśląc, że ten wielki, czerwony motyl, to znak jakiegoś stowarzyszenia, na które się ona powołuje z całą powagą. Nareszcie odbieramy wiadomość, że nasza Marjanna szczęśliwie morze przepłynęła i jest w Rio.

Zmęczoną była, przybladła, mitynki jej się zdarły, kapelusz wykrzywił, gdyż dla odznaczenia się od gawiedzi nie zdejmowała go prawie; chustka derowa zeskorupiała od słonych wyziewów morza, ale strzępy czerwonego motyla jeszcze się na niej trzymały.

Pensylwańczyk był zachwycony. Takiej tęgiej, przysadkowatej baby, jak żyw nie widział jeszcze.

— Marjanna przyjechała! pisał do Dąbówki. — Nader silnie tłusta i dobra!

Istotnie Marjanna była wyborną sługą; prała zwłaszcza znakomicie i tylko zbyt wiele zużywała farbki. Instynkty jej kolorystyczne były niepołamane w tym względzie.

Nigdy też nie można było przewidzieć, czy jej « lazurku », jak nazywała, zbraknie, czy nie braknie.

Najczęściej wszakże brakło. Wycierała wtedy ręce w fartuch i nie pomyślawszy nawet o tem, że słowa po portugalsku nie umie, po lazurek biegła.

Po chwili wracała zdyszana.

— Gdzie to Marjanna była? — pyta pani.

— A toż po lazurek latała!

— No i cóż?

— A nic! kupiła!

— Jakże? przecież Marjanna nie umie się rozmówić?...

— I... co to nie umie! Idę do kramu, powiadam coby mi lazurku dali. Powytrzeszczali na mnie oczy i nic. Tak ja jeszcze głośniej. A oni do siebie: czego ta głupia baba od nas chce, kiedy my jej nie rozumiemy?

— Jakże Marjanna mogła wiedzieć, co oni mówią?

— Albo to co wielkiego? Takiemu ta barabaszowi po oczach dość spojrzeć, to się i wie co gada.

— No i cóż się stało?

— A nic! Co ja tu, myślę sobie, będę stała i medytowała, a tam mi woda stygnie. Obejrzę się, spojrzę, leży papier niebieski

od cukru. Łap ja za on papier, rękaw od koszuli wyciągam, jedno do drugiego przykładam i mówię: tego do tego!

— No i zrozumieli? — Co nie mieli zrozumieć! Przecież im wyraźnie po polsku mówiła!

Pewnego wszakże razu wraca Marjanna rozmarzona jakaś. Małe jej bure oczki mniejsze się jeszcze wydają niż zwykle, usta wdzięcznie zesnurowane, spojrzenie melancholiczne. Jest przytem małowówna i z partesu stąpa.

— Co to Marjannie? — pyta pani — Czy nie chora przypadkiem?

— I... nie! — odpowiada z pozorną obojętnością cedząc słówka przez zęby. — Tyla, co mi się tam jeden obświadczył.

— Co? Kto? Jak? Gdzie?

Marjanna czuje się nieco zdziwieniem tem dotkniętą.

— A gdzieżby? Jużci że na półimperjału!

Na wsi jeszcze słyszała o półimperjałach i nazwę tę stosowała do górnych miejsc na tramwaju. Mówi to zresztą takim tonem, jakby imperiał umyślnie był zbudowany dla miłośnych gruchań.

— Jakże to było? — pyta pani mocno rozciekawiona.

— A cóż? Siadam na półimperjała, patrzę, niedługo siada przy mnie jeden czarny. Usunęłam koszyka, co by mi się o niego nie zmurzył, i nic, siedzę. A ten mi się przygląda z jednej strony, z drugiej strony, z trzeciej strony, z czwartej strony... Tak ja do niego: I cóż ślepie wytrzeszczasz, baranie jeden, kiejby rybą w garnku? Zara mu się to spodobało, rozsmiał się i pokazuje na mój pierścionek, niby czy ja żeniata, czy nie? Tak ja rękę na płask i do ziemi, że to niby już kaput, żeś wdowa. Tak i on pokazuje do ziemi i na swój pierścionek, niby, że to i on wdowiec. Westchli my sobie oba, niby k' woli żalości, a tu słońce tak piecze, że się ślina na języku gotuje. Tak niedługo ów czarny bierze mnie za rękę, na swojej kładzie, chustki dobywa i owija, a w oczy mi patrzy. Niby, co by nas ksiądz stułą powiązał. Ale ja zaraz zaczęła kręcić głową, boć to podobno pogany, choć też i chrzczone; skórę a to mają taką grubasną, że się tego chrzest święty, jak należy, nie ima, tyle co woda spłynie po tem, jak po kacze, a do tej duszy to się ta nic z tego obmycia z grzechów nie dostanie. Zaraz też zaczęli pisać, co by my z półimperjała złazili, więc mi tylko jeszcze koszyk podał i każde my w swoją drogę poszli!

Niemniej chodziła Marjanna przez resztę dnia zadumana, i nazajutrz także była jakaś nie swoja. Młoda pani myślała, że to żal

mimowolny za porzuconą okazją szczęścia. Ale nie był to żal. Było to preludium do żółtej febry.

Wybuchnęła ona u Marjanny z wielką siłą, ale jej nie zgryzła. Zdawało się zrazu, że kobiecina wieczora nie doczeka. Zdawało się wieczorem, że nie dożyje ranka.

Dożyła wszakże i otrząsnęła się z tej śmiertelnej zmoxy; długo tylko przyjść jakoś nie mogła do siebie.

Wyżółkła, wychudła, osłabła, ręce jej się trzęsły, zamroki na nią szły, robocie żadnej poradzić nie mogła, choć się rwała do niej. Dzielnym pensylwańczykiem byłby ją i taką cherlającą dla żony w domu trzymał, ale doktor zapewnił go, że Marjanna tylko w innym klimacie wyzdrowieć może zupełnie.

Znowu więc nie było rady: Marjanna wracała z za morza. Wyszukała gdzieś w głębi kufra resztki czerwonego motyla, przyspiłiła go sobie do chustki i ufna w ten talizman, z mężnem sercem na okręt siadła. Od pierwszej jej podróży upłynęło coś osiem miesięcy.

Zima była; wczesny zmierzch zapadał w pokoju, kiedy nagle stanęła przed nami Marjanna.

Wykrzyknęliśmy z zadziwienia i współczucia: twarz jej była zmieniona, małe oczki głęboko zapadły, krępa przysadkowata postać pochyliła się nieco.

— Marjanna? Co? Jak tam? Z takiej drogi! Po takiej chorobie! Z takiego dalekiego kraju!

Myśleliśmy, że nas zasypie skargami na klimat, na ludzi, na żółtą febrę, na podróż.

Ale nie. Zbliżyła się tylko nieco i kiwając głową w swoim aksamitnym kapeluszu, który jej na kark zjeżdżał, a do którego przybyło zielone papuzie skrzydło —

— I!... — rzekła wzgardliwie — cóż tam za kraj taki! Takiego ta kraju, proszę państwa — dodała tajemniczo — i liczyć co nie ma! Jakby nie był! Życia tam ni jakiego! Twarożku nie uświadczysz, kaszki krakowskiej nie ujrzysz, śmietany nie uwidzisz!..., Jakże tam, proszę ja państwa, dobrze ma być, kiedy koło nabrału chodzić nie umieją? Zrobili ta teraz rewolucyę, ale gdzie to ta poradzi, kiej naród strasznie głupi. Prowadzi, ato, taki czarny krowę i dzwoni. Kto mleka chce, wylatuje z garnkiem, doi co mu potrzeba, i po kramie.

— No, to dobrze właśnie! Mleko świeże i nie fabrykowane.

— Ale! Gdzie ta, proszę państwa, dobrze! Tam krowy takie

pouczone, że to odrazu mleko z wodą daje! Cóż ta już na to choć i rewolucya poradzi!

— No, ale kraj piękny?

— Phi!... Ja ta tej piękności nie widziała! Juścić mają tam precz i lasy, i Wisłę mają, ale że woda w niej, to się tam inaczej nazywa. Gdzie! człowiek takich imion i nie pamięta nawet. Okrutnie głupi naród! Wszystko het poprzekręcane, na nic tak nie wołają jak należy, tylko na każdą rzecz ta sobie powymyślali jakoweś przezwiska!

— I jakże się Marjanna z niemi rozmawiała?

— A cóż to, proszę państwa! Czy ja to dziecko, czy co? Nie dał mi to Pan Bóg mowy, jak należy?

— I nie bała się Marjanna tamtych ludzi... murzynów?

— Niby tych czarnych? A czego? Takiego ta kopciucha będę się ta bała! Leciał ta raz jeden za mną, na cegielniach pod lasem, obejrzę się, a ten fuzyą trzyma i krzyczy. Myślał, że na głupią trafił.

— I cóż Marjanna?

— A nic. Idę a ten precz krzyczy i leci z oną fuzyą. Jak mnie też złość weźmie, jak nie zawinę jupki. Strzelaj durniu! mówię, kiej ci pilno!

Wybuchnęliśmy na to szalonym śmiechem.

— I co? I co dalej?

— A cóż! Złakł się i poszedł, jak ten pies po mydle.

— Ale choroba! Taka ciężka choroba! — odezwał się ktoś z ubolewaniem.

— I... cóż tam choroba! Ato, proszę ja państwa — dodała tajemniczo — jeszcze jakem sobie trzy lata temu karty dała kłaść, to tam choroba już stała. Nic, tylko się trefle kładły... Nic, tylko precz trefle! To już ta sądzone było!

— A pani? A pan?

— Pani zdrowa, Bogu dzięki! Ale pan, co gadali u nas, że czarny je, to nieprawda. Piękny pan, ze wszystkim biały! Tylko powiadają, co jak się dziecko urodzi, to lebo jarzębate, lebo pasiate!

Takie są «wrażenia z Brazylii» Marjanny.

UPIORNA DRAPIEŻNOŚĆ

Nie ma granic, nie ma w przyrodzie przykładu okropna, przerażająca drapieżność szczupaków. Wywodzi się chyba wprost z samego koszmaru, od bestii apokaliptycznych. Drapieżność nieposkromiona, obłąkana, ślepa: szczupak nie tylko pożre drugiego szczupaka, lecz z równą zjadłością rzuci się na błyszczącą blaszkę, na płynący kawał drewna lub rękę człowieka. Drapieżność zuchwała, bezwstydna, niczym się nie krępująca, bez maski: szczupak nie zna obłudy, nie kłamie, nie uśmiecha się: chciwe ślepie wyrażają zawsze okrucieństwo, potwornie szeroką paszczę jawnie szczerzy wieczny głód. Szczupak rzuca się na ofiarę jak błyskawica i natychmiast, żywą, połyka. Rzuca się raz, zwyczajem szlachetnych drapieżników. Gdy chybi, nie goni. Chybia rzadko.

John powiada, że w jeziorze Marmette, nad którym obecnie obozujemy, żyją olbrzymie szczupaki; bywają tam potwory stuletnie, dochodzące do dwóch metrów długości. Wierzę. Bez wielkich zabiegów łowimy okazy dziesięcio, piętnastofuntowe.

Rzecz dziwna, że ani w jeziorze Marmette, długim na blisko 20 kilometrów i niezmiernie głębokim, ani w połączonych z nim jeziorach, jak np. Chapmana, nie ma nawet na lekarstwo żadnych innych ryb, jak tylko szczupaki. Same szczupaki. A co jeszcze dziwniejsza, to ich nieprzebrana obfitość, niewiarygodna, niepokojąca, prawie upiorna: wystarczy gdzieś rzucić wędkę, obojętnie o jakiej porze dnia i przy jakiej pogodzie, a już uderza w przynętę rozbójnik głębiny. Wody kanadyjskie to fantastyczne mateczniki szczupaków, istne rezerwuary drapieżności.

Łowimy szczupaki z łodzi na błyszczkę, którą tu nazywają « troll ». Niklowana blaszka jest wygięta w kształt

śmigła i dzięki temu obraca się wśród łśnień dokoła własnej osi, gdy ją ciągniemy na długim sznurze za łódką. Do blaszki umocowany jest mocny haczyk. Ruch i migocące błyski wywierają magiczny wpływ; szczupaki z pasją uderzają na świecidełko i pochłaniają je razem ze zdradzieckim hakiem.

Jest to chwila potężnego wzruszenia. Mając ręce zajęte wiosłem, trzyma się sznurek w zębach. Naraz gwałtownie, głucho szarpnięcie wykręca człowiekowi głowę w bok, wbrew jego woli, tyle w tym szarpnięciu niepohamowanej przemocy. Na obydwóch końcach sznura stają przeciw sobie dwa wrogie światy: tam zęby drapieżnika — tu zęby człowieka, w tej chwili niemniej drapieżnego, niż tamten pod powierzchnią wody. Od zębów do krzyża, do nóg przeszywa łowcę rozkosz. Atawistyczna rozkosz jaskiniowca szarpiącego zębami swą zdobycz.

Wówczas wiosło kładzie się do łodzi i rękoma wyciąga sznur. Powstaje zacięta, krótka walka. Szczupak rozpaczliwie się broni, pogrąża w głębie, szamoce, trzęsie łódką. Dobywa ostatnich, straszliwych sił. Czasem skoczy wysoko w powietrze. Wszystko daremnie. Przegrywa życie, raz wciągnięty do czółna.

Z początku zastanawiałem się, z czego żyje tyle szczupaków, nie mając innych ryb na pokarm. Badanie żołądków wyjaśniło sprawę. Małe szczupaczki, na palec długie, połykają przeważnie pchły wodne, od których roją się jeziora. Jedno-, dwufuntowe wyrostki żywią się tymiż szczupaczkami i rakami, zwanymi crawfish; większe, kilku i kilkunastofuntowe, pożerają wyłącznie inne szczupaki, nieco mniejsze od siebie. Tak więc świat podwodny zasadza się tutaj na hierarchicznym pożeraniu własnego potomstwa i widocznie tylko wielkiej rozrodczości zawdzięcza, że potomstwa jest wciąż pod dostatkiem.

Nazajutrz po upolowaniu niedźwiedzicy wyruszą rano łódką na szczupaka. W moim kanu dosłownie się kocham. Gdy z tyłu siedzę sam jeden, czub jego cudownie wystaje z wody i wtedy starczy jedno uderzenie wiosła, by jak strzała wyprysnęło naprzód. Jednakże wystarczy też lekko przechylić się, ażeby łódkę wywrócić. Kanu jest bardzo wywrotne.

Tego rana nie oddalam się zbyt od obozu. W pobliżu, niedaleko brzegu, jest głębokie miejsce, kotlina na spodzie jeziora. Pełno w niej szczupaków. Woda przybiera tu ponury kolor ciemnognatowej przepaści. Przepływając tędy powoli, doznaję nagle w zębach tęgiego wstrząsu i linka ucieka w dół jak świszcząca struna: chwycił dobry szczupak. Podczas wyciągania go — jest na kilkunastometrowej głębini — płacze mi się sznurek i jakoś nieszczęśliwie obwija dokoła nogi. Chcę go odwikłać, gdy gwałtowne szarpnięcie ryby udaremnia zamysł. Gorzej, bestia ciągnie za nogę tak mocno, że wszystkimi siłami muszę się zapierać o brzeg łodzi i trzymać rękoma, by nie wpaść do wody. Jestem unieruchomiony. Inicjatywę objął szczupak. Jest to widocznie olbrzym Kanu chwycie się przeraźliwie, wciąż przechyla i grozi wywróceniem.

Jedynym wyjściem z przykrego położenia jest dobicie z łodzią do brzegu. Lecz gdy podnoszę wzrok, stwierdzam z niemiłym osłupieniem, że podczas zmagania się ze szczupakiem odpłynąłem kawał od brzegu. Dostałem się oto w wietrzyk, dmący od lądu i wypychający kanu na środek jeziora. Butnie sterczący z wody dziób łodzi — dotychczas moja duma — działa teraz jak złowieszczy żagiel.

Chwytam za wiosło i uderzam w wodę, by kanu skierować do lądu. Lecz daremny to trud: wiatr jest silniejszy i nie dopuszcza do zwrotu. Nadomiar szczupak tejże chwili zaczyna targać ze zdwojoną gwałtownością. Szybko odrzucam wiosło i wpieram się w spód łodzi, by nie stracić równowagi. Kilkakrotne podobne wysiłki spełzają na niczym.

Chwila spokoju uprzytamnia mi bliskie niebezpieczeństwo. Rozważam, że w razie wpadnięcia do wody nie będę mógł płynąć; szczupak natychmiast wciągnie mnie w otchłań. Trzeba będzie trzymać się kurczowo łodzi, dosłownie ostatniej deski ratunku. Przypomina mi się scyzoryk. Nietety leży na przodzie kanu, poza zasięgiem ręki.

Liczę na znużenie szczupaka. Nie ciągnie już tak uporczywie, czasami odczuwam zluźniony nacisk sznurka. Lecz najdrobniejszy mój ruch powoduje natychmiast rozpętanie burzy i ostre zrywy. Szczupak, wciąż silny, czuwa.

Gdy tak z niepokojem rozmyślam, że wypadnie jeszcze wlec się dobre dwa kilometry do przeciwnego brzegu,

z możliwością wszelkich niespodzianek po drodze, przychodzi nagle ratunek ze strony, o której nie powinienem być zapominać. Ze strony obozu. Zauważono moje tarapaty i niezwykle ruchy. John i Lisim spuścili łódź na wodę i oto słyszę warkot motoru. Przygoda, w której zdobywam wątpliwą wartości laury, kończy się happy endem: wspólnie wyciągamy z wody szczupaka. Ma blisko 20 funtów.

Pewnego wieczoru, po zachodzie słońca, płynę z Bronisławem przez jezioro, leżące na południu niedaleko obozu między naszym półwyspem a ostojami łośi. Z przodu kanu wiosłuję ja, z tyłu towarzysz. Zachowujemy zupełne milczenie, bo w pobliżu stoi zwierzyna. Nagle podrywam się przerażony, wstrząśnięty do szpiku: tuż za mną rozlega się straszliwy plusk, jak gdyby ktoś całe drzewo z hukiem cisnął do wody. Odwracając się, widzę ostatnim mgnieniem blisko Bronisława zanurzający się ogon potwornie wielkiego szczupaka. Miał może 40 funtów, a może i więcej. Wyskoczył z wody, rozhukany zuchwalec, jakby w zamiarze rzucenia się na Bronisława, a przynajmniej chwycenia jego wiosła. Nie chwycił, za to opryskał go rzetelnie i znikł. Od tego czasu jezioro nazywamy Jeziorem Śmiałego Szczupaka.

Powierzchnia wody jest jak kurtyna, zasłaniająca tajemniczy świat. W tym świecie jest woda i są szczupaki. Poznaliśmy chemię i fizykę wody, lecz nie wyszliśmy poza płytkie doświadczenie naszych pięciu zmysłów. Nie wniknęliśmy głębiej. A życia szczupaków nie objęliśmy nawet i tym doświadczeniem. Szczupaki mają zwyczaje osobliwe; mało co o nich wiemy. Chodów ich i odruchów nie znamy; ich instynkt jest nam mroczną dziedzina. Noc panuje dla nas w tym świecie. Czasem tylko, przypadkiem, zabłyśnie isierka, mrok na chwilę rozjaśni i człowiek, olśniony, za skoczony, ujrzy nagle jedno zadziwiające ogniwo. Ale tylko jedno. Inne pozostaną nadal cieniem, wielką zagadką.

Którejś nocy wiosłuję w towarzystwie Lisima. Na niebie jest pełnia, na jeziorach cisza; powierzchnia wody srebrzy się pasem księżycowych iskier, nie ma prawie żadnego ruchu. Jest chłodno. Na samym środku jeziora



Szczupak ma blisko 20 funtów...

wypada nam płynąć przez mieliznę. Na przestrzeni przeszło stu kroków woda nie sięga wyżej kolan. Wznosi się tu jakaś osobliwa, piaszczysta wyspa podwodna, otoczona zewsząd znaczną głębiną. Znamy dobrze to ustronie z poprzednich wycieczek.

Gdy wpływamy na mieliznę, dzieje się nagle uroczna rzecz. Z przed łodzi wypryskują spłoszone torpedy — nie-torpedy, wcielone diabły — niediabły. Suną tuż pod powierzchnią wody, wzbijając fale; coraz to nowe strzały wyskakują przed nami, dziwaczne, groźne pasma, nagle rakiety, przerażone i przerażające; uciekając, niecą nowy popłoch, wyrrywają z uspienia nowe stwory, tworzą rosnącą lawinę grozy. To szczupaki. Jest ich na mieliznie całe mrowie. I naraz wszędzie dokoła powstaje kotłowisko pieniącej się wody, uciekających ciał, zbiorowego szaleństwa, panicznego obłędu. Widowisko jest oszalamiające.

Po chwili makabryczna gonitwa się kończy. Szczupaki znikają z mielizny i chowają się w głębinach. Na powierzchni jeziora pozostaje długo po nich niepokój.

Była to zrozumiała zgroza wypłoszonych przez nas szczupaków. Lecz jaka utajona siła przyrody wywabiła je z głębi jeziora, w której zwykle przebywają? Jaki instynkt ściągnął je na mieliznę w takiej zastraszającej ilości? Gdzież się podziela ich drapieżność? Czy wogóle były przytomne czy też spały? A może czymś oszołomione, trwały w upojeniu, może zapatrzone w swoją złą duszę, uręczone promieniami księżyca, odrętwiałe, chore, rozmarzone?

Indianie wierzą, że bogu słońca, radości i dobra przeciwstawia się równie potężny bóg księżyca, zła i grozy. Może to on wywiódł swe drapieżne hufce na mieliznę i szczupaki, niewolnicy nocy i zła, odbywały właśnie ponurą księżycową odprawę?...

Piękny jest tu kraj. Pachnące powietrze, wysokie niebo, słoneczne brzegi jezior, jasne skały, rozmaita zieleń lasów, spokój wielkiej zwierzyny — wszystko to znamiona szczęśliwego kraju. Więc skądże bierze się nagle w wodzie tyle drapieżności?

A może sędzimy niesłusznie? Może szczupaki to tylko biedne, udręczone dusze, skazane okrutnym wyrokiem na pożeranie własnego potomstwa, dusze więzione w zacza-

rowanym kole nie z własnej winy, istoty godne litości, a nie potępienia?

Głód i drapieżność to, obok miłości, najważniejsze funkcje życiowe. Służą najwyższemu celowi przyrody: utrzymaniu gatunku. Więc jeżeli szczupaki w niepojętej drapieżności pożerają swój własny płód i niszczą swój własny rodzaj, to dzieje się tutaj jakaś wielka tragedia. Jakieś straszliwe nieporozumienie. Przyroda oszalała i gwałci swoje najświętsze prawa, prawa życia. A może nawet przyroda jest tu bezsilna i ją gwałci ktoś inny, ktoś silniejszy niż ona sama, ktoś okrutny, zjadły, zły? Indianie wciąż wierzą w istnienie złego boga Czakenapenok, boga nocy i zniszczenia.

Lisim, wiosłujący za moimi plecami, mógłby pewnie wyjaśnić zagadkę jeziora Marmette. Niestety, Lisim nie lubi mówić.

ŚCIEŻKI.

Kilka lat przed wielką wojną, gdy nosiłem jeszcze krótkie spodnie, miałem z ojcem ważną rozmowę w Rogalinie nad Wartą. Wracaliśmy właśnie z połowu ryb ścieżką przez łąki, głęboko wydeptaną ścieżką wśród bujnej trawy.

Naraz odezwał się ojciec:

— Pamiętaj, że każda ścieżka, nawet najniepozorniejsza, wprowadza na szeroki świat.

— Jakto, na szeroki świat? — zapytałem zdumiony. — Każda ścieżka? Nawet ta, tutaj nad Wartą?

— Tak, nawet ta.

Było to dla mnie prawdziwą rewelacją. Marzyłem wtedy o Beniowskim i o szerokim świecie, ale nie wiedziałem, że i z tej ścieżki rogalińskiej, tak dobrze mi znanej, można się było wydostać na świat. Nagle szeroki świat wydał mi się inny: bliski i uchwytny.

Od czasu tej pamiętnej rozmowy inaczej patrzę na ścieżki. Stają się odbiciem czegoś ważniejszego aniżeli samych nóg; odbija się w nich instynkt ludzki. Ścieżki ożyły i nabrały treści. Są mi bliskie. Obce mi są i nieme wielkie trakty,

rojne gościńce, ale ścieżki lubię. Przemawiają do mnie. Wiele zawdzięczam im w życiu, wiele życia spędziłem na nich.

Gdy pierwszego dnia lądujemy na naszym półwyspie kanadyjskim, wykładamy tłumoki i rzeczy najpierw na brzegu a potem zanosimy je na miejsce obozu. Jeden za drugim kroczymy gęśiego, John, Lisim, ja i Bronisław. Wracamy w tej samej kolejności. Za trzecim nawrotem spostrzegam, że stąpamy po smudze, wyraźnie odcinającej się w piasku i żwirze: wydeptaliśmy ścieżkę. Zanim na półwyspie stanął obóz i wyrosły namioty, powstała ścieżka. « Ścieżka Indian », gdyż rozpoczęli ją John i Lisim.

Ścieżka nie zmierza prosto do celu; jest kręta. Okrąża kępę stłoczonego gąszczu na brzegu lasku. Poza tym, wiodąc przez piaszczysty pas nadbrzeżny, wiję się w dziwacznych zakrętach i wymija różne przeszkody: to suche drzewko, to leżącą kłodę, to znów gruby kamień. Zdumienie ogarnia, ile to przeszkód staje na tak malej przestrzeni. Jak trudno chodzić prostą drogą!

Przez kilka dni podejrzewam Johna o fantazję i swawolę. Wytknął ścieżkę dokoła rozległej płyty kamiennej, zamiast po prostu przejść po kamieniu i skrócić sobie i nam drogę. Tu John niepotrzebnie nadłożył drogi, śmieję się do siebie za każdym razem, przechodząc; tu John strzelił głupstwo, urągam w duchu. Lecz gdy spada deszcz, płyta kamienna staje się śliską jak lód. Zbijam sobie kolano i natychmiast uznaję ścieżkę Johna a swój błąd. Okrążam sumiennie kamień.

Z biegiem czasu ścieżka nasiąka uczuciem, kojarzy się z radosnym nastrojem. Rano wprawia nas w zachwyt pierwszym widokiem na jezioro, gdy pełni otuchy idziemy do łodzi. Wieczorem, gdy zmęczeni wracamy z polowania, ścieżka zawsze zapowiada nam wielką rozkosz: bliskie ognisko, kolację, gawędę, namiot, sen. Mam słabość do ścieżki.

Inaczej Bronisław. Nie lubi jej, kręci nosem, a gdy Indianie odjeżdżają na trzeci dzień, otwarcie podnosi bunt. Szuka innej ścieżki, krótszej. Znajduje krótszą, lecz niemożliwą: niewygodną, przecinającą gęsty las, najeżoną zdradliwie wybojami i korzeniami. Bronisław wychwala jej doskonałość. Tej samej nocy przewraca się przez korzeń. Mimo to obstaje przy swoim. Później potyka się i rozlewa wiadro z wodą, ale zdania nie zmienia, nie mędrszy po szkodzie. Nadal sławi

swą ścieżkę, nagle ambitny, nagle rozgorzały, nagle zawzięty. I tak trwa uparty do samego końca. Mała rzecz, upór wielki.

Ja pozostaję wierny starej ścieżce Indian.

W całej okolicy jeziora Marmette są to jedyne ścieżki ludzkie. Mało ich: czterdzieści kroków na czterdzieści kilometrów.

Natomiast często napotykamy w puszczy inne ścieżki, zwierzęce. Zwierzęta mają jak ludzie swe stałe chody, utrwalone odwiecznym obyczajem. Niektóre drożyny w pobliżu naszego obozu to wklęsłe, głębokie brózdy: tysiące racic, tysiące łap wyłobiły je przez długie lata. Wiemy: tam na dnie doliny, w najgęstrzej kniei, prowadzi szlak niedźwiedzi; na pagórkach, wzdłuż wysokich grani, to droga łosi. Ale poza tym nie wiemy nic. Ścieżki giną w bezmiernym lesie. Wiodą do nieznanego przeznaczenia. Symbole zgęszczonego życia w puszczy, a równocześnie symbole zwierzęcej tajemnicy i ukrytej w zaroślach doli i niedoli.

Za Jeziorem Śmiałego Szczupaka spotykamy często loszę z sysakiem. Znajoma to, poważna losza i figlarny, sympatyczny sysak. Wychodzą nad wodę co dzień o tym samym czasie i stanowią nieodłączną ozdobę krajobrazu. Zbliżają się wierzchołkami pagórków i tą samą drogą oddalają się — starą, udeptaną ścieżką.

Z zachowania się loszy poznajemy, że nie nadszedł jeszcze czas rui. Pani jest spokojna i zrównoważona; niczym niezmaconą miłością otacza swe młode. Nie płoszymy ich. Z daleka okrążamy na łodzi zaciszne ustronie ciesząc się widokiem pięknych zwierząt. Są mile. Wdzięk rozbawionego młodzika i przywiązanie matki wzruszają nas. Podpatrujemy ich ciche szczęście i przybieramy rolę życzliwych opiekunów.

Pewnego razu nie ma zwierząt. Gdy brak ich także w następnych dniach, domyślamy się z żalem, że opuściły okolicę, widocznie spłoszone. Zwiedzamy ich ścieżkę. Typowy łosi szlak, ciągnący się wśród jodeł od wzgórza do wzgórza, bez końca, w głąb puszczy. Mocno wydeptany, pozwala nam wygodnie kroczyć nawet przez gęste krzewy.

Naraz Bronisław gwiżdże z cicha na znak zdziwienia. Patrzy na ziemię. Pokazuje mi tropy olbrzymiego niedźwiedzia. Zwierz chciał przeciąć ścieżkę łosi; tu jednak przysta-

nął, namyślił się i zmienił kierunek: poszedł ścieżką za łosiami. Kilka dni temu.

— To źle! — oświadcza Bronisław. — On łosie przepędził.

Panuje ponoć w puszczy uznany i zakorzeniony od dawna zwyczaj, że zwierzęta szanują obce ścieżki. Niedźwiedź ścieżki łosi nie uszanował. Była w tym zła wola. Niedźwiedź knuł podstępne zamiary.

Już kilkaset kroków dalej wychodzi na jaw, jakie to zamiary. W poprzek ścieżki leży martwe ciało łoszy, poszarpane straszliwie na szyi i brzuchu. Rozszarpał ją niedźwiedź.

Bronisław wyczytuje ze śladów przebieg tragedii. Gdy niedźwiedź zbliżył się do ścieżki, zapewne mijały go właśnie łosza z młodym i niedźwiedź nagle złakomił się na mięso. Poszedł za nimi i przydybał cielaka. Kłepa stanęła w obronie. Lecz niedźwiedź był wyjątkowo silny. Udało mu się zadać jej cios w szyję i powalić. Wyrwał jej potem jelita i oddalił się zabierając cielaka. Włókł go po ziemi.

Teraz oko nieszczęsnej łoszy jest wciąż szeroko otwarte, ale przeraźliwie puste. Martwota jego przejmuje grozą. To wielka klęska, że koniec niemiłosierny. Urwała się nagle ścieżka łoszy, nieodwołalnie, raz na zawsze,

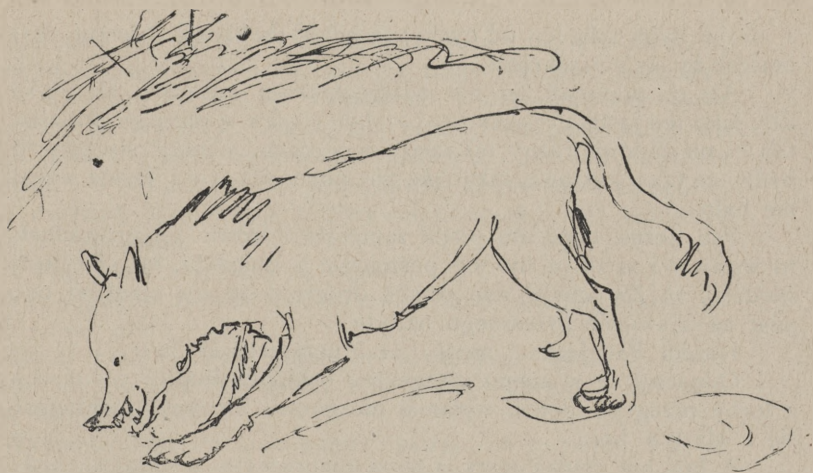
Jednocześnie z życiem łoszy kończy się byt ścieżki. Niebawem zarośnie zielskiem, przestanie istnieć.

Znam w puszczy kilka takich zatartych ścieżek.

Gdy tego dnia, późnym wieczorem, lądujemy na półwyspie i wkraczamy na ścieżkę Indian, kroki nasze dudnią ostro o ziemię i głośno stukają. Ścieżka skostniała.

— Mróz!! — woła podniecony Bronisław.

Tego wieczoru zamarznięta ścieżka oprócz bliskiego ogniska, gawędy i snu zapowiada bliskie łowy.



WŁADYSŁAW ST. REYMONT

BUREK PANAJEZUSOWY

Rysunki Krystyny Domańskiej

W owy czas daleki, kiej Pan Jezus jeszcze po ziemi chadzał i rządy nad narodem sam sprawował, stało się to, coć wam rzeknę...

Szedł se Pan Jezus na odpust do Mstowa, a drogi nikaj nie było, ino piachy srogie a parzące, bo słońce przypiekało i gorąc był taki, jak kiedy przed burzą...

A cienia nikaj, ni osłony.

Pan Jezus szedł z cierpliwością wielką, bo do lasu był jeszcze kawał drogi, ale że już tych świętych nóżków nie czuł z utrudzenia i pić mu się okrutnie chciało, to se raz wraz przysiadł na wydmach, chocia tam i barzej przygrzewało i rosły same ino koziebródki,

a cienia było tyła, co od tych poschniętych badyli dziewan, że i ptaszek by się nie schronił...

Ale co przysiadł, to nie odzipnął nawet rzetelnie, bo zaraz Zły, jako ten jastrząb paskudny, co bije z góry w ustałego ptaszka, tak ci on zapowietrzony bił racicami w piach, a tarzał się jako to bydlę, że taka kurzawa, taka ćma się podnosiła, co i świata widać nie było...

Pan Jezus, choć mu piersi zapierało i ledwie się już ruchał, to wstawał i szedł, a ino się pośmiewał z głupiego, bo przeciech wiedział, że Zły chciał mu zmylić drogę, coby nie szedł na odpust na zbawienie grzesznego narodu...

I szedł Pan Jezus... szedł... aż i przyszedł do lasu...

Odpoczął se w cieniu niezgorzej, ochłodził wodą i coś niecoś z torby przegryz, potem wyłamał niezgorszy kijaszek, przeżegnał się i wlaź w bór.

A bór był stary i gęsty, a błota nieprzebyte, a chrapy i oparzeliska takie, że musi sam Zły tam domował, a gąszcze, że i niektóremu ptakowi łącno przemknąć się nie było. Jeno pan Jezus wszedł, a tu kiej Zły borem nie zatrząsie, kiej nie zacznie wyć, kiej nie pocznie łaćać chojarów — a wiater, jako że to jego parob piekielny, pomagał w te pędy i rwał suszki, rwał dęby, rwał gałęzie, i huczał i hurkotał po borze jako ten głupi.

Ciemność się stała, że chocia oko wykol, — a tu szum, a tu trzask... a tu zawierucha... a tu jakieś zwierzaki, pomioty diabelskie wyskakują i szczerzą kły... i warczą... i straszą... i świecą ślepiami, i... ino... ino chycić pazurami, ale juści że nie śmiały, bo jakżeby... Pan ci Jezus był w swojej świętej osobie...

Ale i Panu Jezusowi dość było tego głupiego strachania, i że pilno na odpust, to przeżegnał bór, i zaraz wszystkie Złe i ze swoimi kumami przepadli w oparzeliskach.

Ostał się ino taki dziki pies, bo w ony czas pieski nie były jeszcze z ludźmi pobratane.

Ten ci to pies ostał i leciał za Panem Jezusem, czekał; to docierał do świętych nówek jego, to uderł zębami za porteczki, to kapot mu ozdarł i za torby chytał i sielnie się dobierał do mięsa... ale Pan Jezus, jako że był litościwy i krzywdy nijakiemu stworzeniu zrobić by nie zrobił, a mógł go kijaszkiem przetrącić, abo i zasie samym pomysleniem zabić, to ino powiedział:

— Naści, głupi, chlebaszka, kiejś głodny — i rzucił mu z torby.

Ale pies się rozeźlił i zapamiętał, że nic ino kły szczerzy, warczy, ujada, a dociera i całkiem już psuje Jezusowe porteczki.

— Chlebam ci dał, nie ukrzywdził, a obleczenie mi rwiesz i szczekasz po próznicy. Głupiś, mój piesku, boś pana swego nie poznał. Jeszcze ty za to człowiekowi odsłużysz i żyć bez niego nie poradzisz... — powiedział Pan Jezus mocno, aż pies siadł na zadzie, potem zawrócił, ogon wtulił między nogi, zawył i kiej ogłupiały pognał w cały świat.

A Pan Jezus przyszedł na odpust.

Na odpuszcie narodu jak drzew w boru albo tej trawy na łąkach — aże gęsto.

Ale w kościele było pusto, bo w karczmie grali, a przed kruchtą cały jarmark i pijaństwo, i rozpusta, i obraza boska, jako to i w te czasy bywa.

Wychodzi Pan Jezus po sumie i patrzy, aż tu naród, kiej to zboże pod wiatrem, to w te, to w oną stronę się kolebie i ucieka, a niektórzy z biczem bieży, kto żerdkę z płotu wyciąga, kto znów po kłonicie sięga, a inszy zasie i kamienia szuka, a baby w krzyk i na płoty się drą, to na wozy, a dzieci w bek, a wszyscy krzyczą:

— Wściekły pies, wściekły pies!

A pies środkiem ludzi, kieby z nagła rozstąpioną ulicą, gna z wywieszonym ozorem i wprost na Pana Jezusa.

Nie uląkł ci się Pan nasz, nie... poznał, że to ten sam piesek z boru, to ino rozpostarł te swoją świętą kapotę i powieda do zwierzka, któren z nagła przystanął:

— Pójdź tu, Burek, prześpieczniejszyś przy mnie, niżli w borze.

Okrył go kapotą, ospotał nad nim ręce i powiada:

— Nie zabijajcie go, ludzie, bo to też stworzenie boskie, a biedne jest, głodne, zgonione i bezpańskie.

Ale chłopci jęli krzyczeć, jęli wydziwiać, a mamrotać i trzaskać kłonicami o ziemię: że to zwierz dziki i wściekły, że im już tyła gąsków i owieczek porwał, że ciągiem szkody czyni, a i człowieka uszanować nie uszanuje, ino zaraz kłami... że nikt bez kija na pole nie wyjdzie, bo bez tego piekielnika przespieczności nijakiej nie ma... że zabić go trza koniecznie...

I chcieli przez moc psa spod Pana Jezusowej kapoty wziąć, a zakatować.

Aż się Pan Jezus ozgniewał i krzyknął:

— Nie ruchaj, jeden drugi! To się, łajdusy i pijanice, psa boita, a Pana Boga to się nie boita, co?...

Odstąpili, bo mocno rzekł, a Pan Jezus im dalej powiedział, że są łajdusy... że przyszli na odpust, a piją ino po karczmach, a Boga obrażają, a pokuty nie czynią i przeklętniki są, a katy jedna la drugich, złodzieje, bezbożniki, i kara boska ich nie minie.

Skończył Pan Jezus, podniósł kijaszek i chciał odejść...

Ale już naród poznał i kiej nie rymnie przed nim na kolana, kiej nie rykną płaczem i kiej nie zaczną skomleć...



— Ostań z nami, Panie! Ostań, Panie Jezu Chryste! Ostań! A to ci wierne będziemy kiej ten pies... pijanice my, bezbożniki my, złe my ludzie, ale ostań, ukarz, bij, ale ostań, sieroty my opuszczone, ludzie bezpańskie... — i tak płakali, tak zebrali, tak całowali go po rękach i po tych nogach świętych, że zmiękło serce pańskie, ostał z nimi przez parę pacierzów, nauczał, rozgrzeszał i błogosławił wszystkiemu.

A potem, kiedy już odchodził, to powiada:

— Krzywdę wam czynił pies? Odtąd wam odslugiwać będzie I gąsków popilnuje i owieczki oganiał będzie i chudoby i dobytku

stróżem będzie a przyjacielem. — Ino go szanujta i krzywdy mu nie czynicie.

I odszedł Pan Jezus we świat tyli.

A obejrzy się — Burek siedzi tam, gdzie go obronił.

— Burek, a pódzi ze mną! cóż to, sam, głupi, ostaniesz?..

I pies poszedł, i już siedł wszędy za Panem, i taki cichy, taki czujny, taki wierny, kiej parobek najlepszy.

I poszli już wszędzie razem.

I bez bory szli i bez wody — całym światem.

A że nieraz i głód był, to piesek ptaszka jakiego wytropił, to gąskę albo baranka przyniósł, i tak se społecznie żyli.

A często gęsto, kiedy Jezusiczek strudzony spoczywał, to Burek odganiał złych ludzi abo i zwierza dzikiego, i nie dał Pana naszego, nie...

Kiej przyszedł czas, że one faryzeje srogie wiedły Pana na umęczenie — to Burek rzucił się na wszystkich i jął gryźć i bronić, jak tylko umiała biedota kochana.

A Jezus mu rzekł spod drzewa, które dźwigał na mękę swoją świętą:

— Sumienie barzej ich gryzło będzie... a ty nie uredzisz...

I kiej umęczonego powiesili na krzyżu, to Burek siadł i wył...

... Drugiego dnia, kiej wszystkie ludzie poodchodzili, że już ani Panienki Najświętszej, ni apostołów świętych nie było... to ostał ino Burek...

... Lizał raz wraz święte, przebite goździami, konające nóżki Panajezusowe i wył... wył... wył...

... A kiej już trzeci dzień nadszedł, przecknął Pan Jezus, i patrzy, a tu nikogo wpodłe krzyża... ino jeden Burek skamli żałośliwie i tuli się do jego nogów...

... To Pan nasz Jezus Chrystus przenajświętszy pojrzał miłościwie na niego w tej godzinie i rzekł ostatnim tchem:

— Pójdź, Burek, ze mną!



DOBRY UCZYNEK

Dziennikarz i literat amerykański Gerald Kersh opowiada jako autentyczne następujące zdarczenie :

W 1937 roku na wielkim transatlantyku, płynącym do Ameryki spotkałem polskiego lekarza, udającego się do Nowego Jorku. Mam wrażenie, że znajduje się on tam jeszcze, ponieważ miał on w kieszeni kontrakt dziesięcioletni z wielką amerykańską instytucją naukową. Będę go w tem opowiadaniu nazywał doktorem Polaczkiem, ponieważ nie mogę wymienić jego prawdziwego nazwiska.

Był to pan niskiego wzrostu w średnim wieku, żywy i żartobliwy. Mówił niemal bezbłędnie jedenastoma językami i był niewątpliwie człowiekiem wielkiej wiedzy.

Pewnego wieczoru, spędzonego na oceanie, padło w rozmowie między nami nazwisko Carnegiego i mówiłem o tym amerykańskim milionerze z doktorem, jako o dobroczyńcy ludzkości.

Uczony polski powiedział mi wówczas swym tonem lekkim i żartobliwym :

— Każde zagadnienie może być

traktowane z dwóch punktów widzenia. Podobnie każdy czyn ludzki ma dwa aspekty. Jest rzeczą niemożliwą, biorąc ściśle, żeby człowiek zrobił coś, co okazałoby się absolutnie dobre. W każdym dobrym czynie kryją się pewne złe konsekwencje. Nigdy nie można z całą pewnością powiedzieć, że coś może być bezwzględnie dobre dla ludzkości. Przeciwnie musimy przyznać, że wszystkie nasze czyny, jakkolwiek zostałyby pomyślane, zależne są od tego jak Bóg nimi kieruje. Stają się albo złe albo dobre, niezależnie od naszej woli.

— Jestem uważany za człowieka dobrego, — mówił dalej polski lekarz — jednakże powinienem być sądzony, kto wie może nawet powieszony za następstwa moich postępów. Niech pan tylko postucha...

I oto historia, jaką w czasie podróży przez Atlantyk opowiedział mi dr. Polaczek.

Były to pierwsze miesiące 1920 roku. Skończyłem już moje studia i zdobyłem dyplomy medyczne trzech różnych uniwersytetów w Europie. Nie wykonywałem jednak jeszcze mego zawodu. Wów-

czas właśnie otrzymałem mały spadek i postanowiłem użyć pieniędzy na to, by coś w życiu zobaczyć. Udałem się tedy w podróż po różnych krajach Europy, zwiedzając różne miasta, badając obyczaje różnych narodów i ucząc się praktycznie władania obcymi językami. W tej mojej wędrówce znalazłem się w pewnym pięknym i rozkosznym mieście, gdzie większość moich dni spędzałem w kawiarniach, poświęcając się obserwacji ludzi owego kraju. Miałem zwyczaj uczęszczać do różnych dzielnic owego miasta, aby poznać jego życie w najrozmaitszych aspektach. I tak na przykład, w poniedziałek piłem szampana w wytwornej restauracji w arystokratycznej dzielnicy, podczas gdy we wtorek udawałem się na odległe przedmieścia i odwiedzałem ubogie szynki. Właśnie w takiej biednej dzielnicy robotniczej spotkałem człowieka, o którym chcę mówić.

Byłem w jednym z ubogich, drugorzędnych barów i spożywałem porcję zimnego mięsa. Smutny, ubogo odziany, o zgorzkniałym wyglądzie przysiadł się do mego stolika jakiś mężczyzna i kazał sobie podać kawę, którą pił wolno, jakgdyby chciał, żeby ten proces trwał jaknajdłużej. Gdy każemy sobie podać takie potrawy, jak porcję zimnego mięsa, jesteśmy tak dziecinni, że najsmaczniejszy kąsek chowamy na koniec.

Na moim talerzu w owej chwili znajdowała się mała porcja zimnej cielecej pieczeni. Ją właśnie zachowałem sobie na ostatni kąsek.

Podszedłem do kontuaru, aby zamówić szklanę wina. Gdy powróciłem na miejsce, porcja cielecej pieczeni zniknęła z mego talerza. Twarz człowieka, który przysiadł się do mego stolika, była twarda i zimna. Widziałem, jak właśnie w pośpiechu przetknął mięso. Powiedziałem do niego: — Jestem całkowicie w zgodzie z panem, drogi przyjacielu, że ten kawałek cieleciny musiał być bardzo smaczny.

Wówczas nieznajomy zaczął mi opowiadać długą i smutną odyseę. Miał starą matkę i chorą siostrę, był zwolnionym z wojska żołnierzem, pozostającym bez pracy. Była to historia, jakich wówczas w tym kraju było wiele. Człowiek ten nie jadł jeszcze nic od rana i było zrozumiałe, że nie mógł się powstrzymać od zabrania z mego talerza kawałka cieleciny. Był głodny.

— Teraz jednak nadchodzi już koniec — powiedział mi nieznajomy — byłoby nierozsądkiem bym włókł dalej podobne życie i żywił jeszcze jakąś nadzieję. Szukałem wszelkich sposobów, by wybrnąć z sytuacji, ale nic mi się nie udało. Przykro mi, że pozbawiłem pana tego ostatniego kąska. Nie zrobię już tego więcej w stosunku do nikogo. Tej nocy skończę z sobą.

Spojrzałem na niego okiem lekarza i zrozumiałem, że człowiek ten nie gra komedji. Mówił on prawdę. Znałem z mojej praktyki medycznej widok i zachowanie owych ludzi, którzy nosili się z myślą o samobójstwie. W oczach nieznanego tkwił ten sam właśnie wyraz desperacji, znany mi z medycznych studiów. Byłem pewny, że po wyjściu z restauracji popełni on samobójstwo. Kroplą, przeważającą szalę miało być właśnie upokorzenie, jakiego doznał kładąc mi kawałek mięsa z talerza.

Ponieważ był głodny, skinąłem na kelnera i kazałem, by mu przedewszystkiem podano kolację. Nieznajomy był jednak zagłodzony i jadł niechętnie. Dał się z trudem namówić na przelknięcie kilku łyków wina. Potem wziętyłem mu pewną sumę, lecz odsunął ją od siebie mówiąc: Cóż mi to pomoże? Będę mógł z tego żyć trzy lub cztery tygodnie, a potem... Popadnę znowu w głód, który będzie tem dokliwszy, że przyzwyczaję się w międzyczasie do dobrego jedzenia. Nie, jestem nadal zdania, że samobójstwo będzie jedynem dla mnie wyjściem.

Zmieniłem system. Postanowiłem przyznać mu rację. Dobrze — powiedziałem — Każdy ma naturalnie prawo decydowania o swem istnieniu. Jestem jednak doktorem, niech pan pójdzie do mnie, porozmawiamy o tem, jak

zrobić, by śmierć, skoro ma nadejść, była jaknajlżejsza.

Zgodził się i poszliśmy do domu. Człowiek ten przez cały czas mówił i gestykulował, jak szalony.

Po przybyciu do domu, kazałem sporządzić dla niego gorącą kąpiel, pożyczyłem mu mojej piżamy i sporządziłem mu poślanie. Nazajutrz kupiłem mu używane ubranie, dwie zmiany bielizny i obuwie. Przebywał ze mną przez dwa tygodnie. Zaczynałem być z siebie coraz to bardziej dumny. Mój kandydat na samobójcę odzykiwał zaufanie do życia. Jego spojrzenie stało się żywe, krok bardziej pewny. Byłem przekonany, że nigdy nie zapomni mojej dobroci.

Ale drugiej soboty, kiedy, powróciłem do domu, stwierdziłem, że mój nowy przyjaciel ulotnił się, unosząc z sobą mikroskop znacznej wartości, mój płaszcz zimowy i walizę pełną najlepszych ubrań. Nawet nie zawiadaniałem policji. Było mi wstyd, że dałem wystrychnąć się na dudka. Zająłem się moją pracą, starając się najszybciej zapomnieć o tym przykrym epizodzie.

Nie pamiętam już kiedy potem — upłynęło jednak wiele czasu — ujrzałem fotografię tego człowieka w jednym z dzienników. Pod fotografią widniało nazwisko.

Przeczytałem je. Brzmiało ono: Adolf Hitler.



MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA

GOŁĘBIE POCZTOWE

*Oto klatka : Trzepoce i grucha w jej ścianach
gromada listonoszów, do lotu wezbrana.*

*I już z otwartych drzwiczek wznoszą się ku słońcu!
Jeden w drugiego pragnie być najlepszym z gońców!*

*Niechaj im niebo sprzyja i pomyślne wiatry!
Pierwszy gołąb zakrążył i poleciał w Tatry.*

*Drugi fruwał z namysłem... i ruszył w Karpaty.
Podąży pośród szczytów zębatych, garbatych.*

Trzeci do Śląska pędzi, czwarty do Krakowa,
prosto i niezawodnie jak strzała stalowa.

Piąty śmignął do Lwowa, nagły jak depesza,
szósty najkrótszą drogą do Wilna pośpiesza.

Siódemka do Warszawy! W chmury daje nura!
Ósemka do Poznania, aż jej furczą pióra!

A ostatni — nad morze. Jastrząb za nim gonił,
lecz widząc, że to poczta, tylko się uklonił.



Rys. K Domańska

PANTOFLE

Niebawem ukaże się w bibliotece « Orła Białego » w Rzymie powieść Wiesława Wohnouta « Noc », której akcja rozgrywa się w ostatnich miesiącach okupacji niemieckiej w Polsce. Poniżej zamieszczamy fragment tej powieści.

Książeczka czekowa któregoś ze stołecznych banków, zlecenia podpisywane własnoręcznie « zgodnie z wymaganiami », bądź też — ze względu na bezpieczeństwo — przekazywane telefonicznie pod umówionym hasłem, niemniej wykonywane skrupulatnie, daleko posunięta specjalizacja i nieprzeciętna znajomość rynku — oto cechy, które musiał posiadać makler podziemnej giełdy. Dodajmy do tego poufały i niemal serdeczny stosunek z klientelą, jakaś trudna do sprecyzowania, niemniej niewątpliwa życzliwość dla ludzi, zawarta w hasle « zarabiać, ale dać także zarobić drugim... » nieprzeciętna solidarność w ramach branży.

Typy społeczne, mentalności shylokowskie, pospolici lichwiarze i dusigrosze, za jakich fama ludowa uważa bankierów, w tych latach nie istniały na rynku. Bankierzy wojenni (podobnie jak wojenni kupcy) to był ludek wesoły, rozrzutny, indywidualności nieraz wybitne, o wyraźnej skłonności do ryzyka, z zacięciem nieomal junackim.

Przemycać brylanty z ghetta (w czasie, gdy ghetto żyło jeszcze), przewozić codziennie z jednego krańca Warszawy w drugi tysiące i dziesiątki tysięcy dolarów, w latach permanentnych rewizji domowych i napadów rabunkowych, przechowywać w mieszkaniu u siebie istne skarby w postaci

kosztowności, powierzonych celem spieniężenia — wszystkie te zajęcia nie były może tak zaszczytne, jak sypianie na tapczanie wypełnionym podziemną literaturą, bądź też rozłożonym na części cekaemem, były jednak niemniej od nich niebezpieczne.

A czasami — bywały także zaszczytne...

Były radca ministerjalny Rodowicz (współplik Staszczyka) po katastrofie roku 1939 strącony na dno nędzy, miał się najrozmaitszych zajęć. Bez skutku. Nie mógł zarobić na najskromniejsze utrzymanie (Oszczędności, których jako lojalny obywatel nie podjął w tygodniach paniki w sierpniu 1939 z P. K. O., zostały zablokowane, a wobec katastrofalnej dewaluacji, nie warto o nich wogóle mówić).

Gdy pojawiły się pierwsze riksze skorzystał z dawnych znajomości z pewnym dorożkarskim przedsiębiorcą i zaczął pracować na rikszy.

Było to pierwsze intratne zajęcie w czasie wojny.

Wymagało jednak nadludzkich płuc i końskiego serca.

Po sześciu miesiącach z żylakami na nogach, zwłaszcza że zarobki riksiarzy spadły, bo wciąż przybywały nowe riksze — odpadł.

Dał sobie dwa tygodnie odpoczynku. Ten czas wyzyskał na poszukiwanie nowych środków egzystencji.

Ale — były radca ministerjalny z roku 1942 to nie był były radca ministerjalny z roku 1939! To był już także był riksiarz...

Gdy tak we dwóch (radca i riksiarz) ruszyli na miasto, nie szli płaczliwym krokiem zdeklasowanego inteligenta, o nie! Przedewszystkiem wstąpili do baru « Pod gąską ». Pulsował tam wtedy jeden z nurtów handlu z ghettem. W określonych godzinach pojawiali się hurtownicy perkalików i bawełniarze. (W tej okolicy mieszkał wysiedlony poznańczyk Frankowski, którego odwiedzimy niebawem wraz z gemeinem Mondrzykowskim). Mieli swój stały stolik jarzyniarze. W pewne dni odbywali tutaj spotkania z odbiorcami kierownicy wiejskich spółdzielni, mleczarni, zlewni mleka i rejonowych punktów skupu jaj. Zawierano regularne umowy kupna-sprzedaży, ustalano terminy i warunki dostaw, opakowanie (luzem, czy rozważone), nabywano przy okazji, złote łańcuszki, zegarki.

Wiesz, jak wiadomo płynie mlekiem, potrzebuje zaś żelaza. Więc obok stolika maślarzy i mleczarzy wyrósł stolik kupców żelaznych. Wielkie zapotrzebowanie jest zwłaszcza na łopaty, wiadra i, rzecz prosta, jak zawsze, na kosy, łańcuchy i gwoździe. Sprzedawano także piecyki żelazne. (Wyspecjalizował się w nich pewien były starosta). Wiesz — ten w latach stałego niemal przed wojną kryzysu rolnego martwy rynek zbytu, okazuje obecnie już nie chłonność — jest wprost żarłoczna na towar. Niepokaźny jegomość z małej spółdzielni wiejskiej, którego niewprawne oko mogłoby zlekceważyć, jako zabłąkanego w stolicy prowincjała, dysponuje funduszami idącymi w setki tysięcy. Płaci zamówiony wagon żelaznych garnczków czekami na Centralną Kasę Spółek Rolniczych (tak zwana C-kase) albo na Bank Społem. (Bank Społem wobec ogromnego wzrostu obrotów i masowego napływu klientów zmienia swoją siedzibę. Nowy lokal jego Oddziału Głównego zajmie całe piętro jedyne w Warszawie drapacza chmur). Te czeki, zaopatrzone niezbyt wprawnymi podpisami członków Zarządu, pod pieczątką małej spółdzielni, są dobrym pieniądzem. Przez wszystkich traktowane jak gotówka, idą natychmiast w obrót.

Było w tych transakcjach, być może, mniej tradycyjnej kupieckiej ostrożności. Ale też było mniej szanownej, bo tradycyjnej, kupieckiej nieuczciwości. Ci prości ludzie mogą oczywiście, popełniać błędy (popełniają je), ale nie wystawiają czeków bez pokrycia. To się nie zdarza.

Wśród tych ludzi Rodowicz ma obecnie wielu znajomych. Niektórych z nich woził jako riksza, niektórych (bardzo nielicznych) przyjmował kiedyś w swoim gabinecie ministerjalnym. Nie dzieli ich jednak na dwie grupy. Wyzbył się wielu przesądów. Ci jego niedawni klienci są mu nawet miłsi, od tamtych — dawnych.

Panuje w tym świecie swoista demokracja. Dyrektor wojennej fabryki idzie « Pod gąskę » (albo do jednego z dziesięciu tysięcy innych « szynków ») ze swoim woźnym, który w życiu prywatnym jest jego serdecznym przyjacielem, tylko pozbawiony talentów, które trzeba było jednak posiadać, nie zdołał się przebić przez dżunglę tych lat i niczem innym być nie umiał — tylko woźnym. Był więc woźnym.

Kelnerkami są żony oficerów siedzących w Oflagach, albo aktorki. Szatniarzami aktorzy. Papierosy w restauracjach sprzedają albo normalni warszawscy «szwajcarzy», albo spryciarze o typie kameralnym. (Małe ryzyko, praca stosunkowo lekka w równomiernie cały rok ogrzanem wnętrzu). Spryciarze większych rozmiarów — kupują papierosy.

Tu, «Pod Gąską», uśmiechnie się do byłego radcy po raz pierwszy szczęście.

Pewien złociarz podsunie mu pomysł... Ale to dopiero nastąpi. Teraz zarabiając na produkcji pantofli niewiele, bywa «Pod Gąską» raz na dwa tygodnie. Zachodzi celem zorientowania się w cenach surowca, a ponadto ma na widoku także pewne sprawy prywatne.



Surowiec...

Nie jest to także prosta sprawa. Spółka «Staszczyk i i Rodowicz» nie ma do dyspozycji skóry. Obcasy powstają z obrzynków. Na ten pomysł wpadł były radca Staszczyk okupił go półkalectwem. Zanim zawarł spółkę ze swoim przyjacielem, Rodowicz handlował skórą na podeszwy. Wykrawając podeszwy z tak zwanego kilograma otrzymuje się masę obrzynków. (Skórę podeszwową kupuje się i sprzedaje się na wagę). Obrzynki są zwykle dodatkowym zarobkiem szewca! Otóż, były radca zastosował odmienną metodę. Żądał od klientów nieco wyższą cenę za 1 kg. podeszew, ale dostarczał podeszwy, a nie prostokąt skóry. (Nazywał to «podeszwy netto»).

Klientowi kalkulowała się rzecz o kilka złotych taniej, mimo, że płacił wyższą cenę za towar. W ten sposób Rodowicz nabierał dużą ilość obrzynków. One stały się właśnie załącznikiem produkcji. Z nich, przy pomocy Staszczyka, który w tym celu nauczył się szewstwa, robią wcale nieźle obcasy. Taki zaś obcas skórzany...

W tych czasach namiastek i przeróżnej syntetycznej

tandety słowo „skóra” fascynuje poprostu klientów. Ci skołatani ludzie, narażeni w każdej chwili na łapankę, aresztowanie, rewizję, rozstrzelanie lub deportację (z szansą zakatowania, lub późniejszego rozstrzelania), traktowani przy łada okazji brutalnie i systematycznie upokarzani, tracą resztkę zdrowego rozsądku na myśl o tym, że, oto! — za głupich kilkaset złotych — mogą posiadać pantofle — na skórze...

Nie należy dziwić się im. Gdy człowiek zostaje tak bez reszty obdarty z komfortu, który jest przecież, jednym z wdzięków życia, oczarowuje łatwo byle drobiazg. Ślad bodaj, echo utraconego raj. Tak, emigrantom nabiegają łzy do oczu, gdy posłyszczą mowę ojczystą. Tak, muzykalni więźniowie doznają rozkoszy, gdy przez mury usłyszą brzęczenie melodji z głośnika w mieszkaniu dozorczy... A czyż dla ludzi permanentnie ściganych, latami całymi nie mających stałego mieszkania, pantofle nie są czymś więcej, niż drugorzędnym fragmentem garderoby — symbolem zacisżności, życia prywatnego... domu.

WOJNA Z PSZCZOŁAMI

W roku 1944 komenda wojskowa jednego z portów angielskich zwróciła się przez radio do specjalistów pszczelarzy, wzywając ich do rozwiązania nieoczekiwanego problemu. Olbrzymia chmura pszczół dokonała prawdziwego najazdu na transportowiec wojskowy który miał ładować materiały wojenne. Nikt z załogi nie mógł ukazać się na pokładzie, jak również łodzie z robotnikami portowymi nie mogły zbliżyć się do statku. Przez dwa dni marynarze i robotnicy próbowali pokonać wroga, co jednak skończyło się dotkliwym pokąsaniem wielu z nich.

Wreszcie zjawił się na pokładzie statku pszczelarz-ochotnik ubrany w ochronne szaty i ochronną maskę, który w bardzo prosty sposób rozwiązał problem. Odszukał on poprostu i schwycił królową, a wówczas cały rój dał się spokojnie ująć i statek został ocalony od małych napastników.

Kocham Wilno

I

Wilno, moje dzieci, to jest miasto wesołe. Widzicie nieraz na ulicy, jak się szepią przez nieuwagę dwa wozy. Co robią woźnice — klną. Ale w Wilnie woźnice i « zwozszyki » nie klną, ale żartują. « Musi ty », powiada, « na imieninach wczoraj był, a? ». Pożartują, pożartują i pojedą.

Jedzie w Wilnie dorożkarz i wiezie pasażerkę; mijają orkiestrę wojskową. Dorożkarz obraca się plecami do konia, nogi zwiesza z boku i tęsknie patrzy wstecz. « Mój człowieku », mówi obca pani, « koń wam się spłoszy, wjedziemy na chodnik. Jak można tak powozić! ». « U mnie koń spokojny, panieczka », mówi z uśmiechem dorożkarz, « a muzyki inaczej i dobrze słuchać nie można ». Któżby się na niego gniewał za tak jasne tłumaczenie.

Dorożki są malutkie, siedzenie ich jest nie większe od siedzenia roweru, a kozioł bardzo niski. Ot — zabawki! —

II

Wilno, to jest dobre miasto. Człowiek tam człowieka żałuje. Zachoruje kto — odwiedzą, posiedzą w nocy, odprowadzą trumnę. Czy jest miejsce, czy nie, zaproszą. Czyż może być komu u wilnian źle, nawet na krótkiej kanapie, w przechodnim pokoju. Naturalnie, że nie. Biegają po mie-

ście, troszczą się. « A może jemu smutno samemu? ». « A może u niej niedostatek? ». « A może co posłać? ». « Ach, Boże ty mój, ot czemu my nie pomyśleli, on nie przywykszy, a myby jakoś łatwiej przetrzymali. Ot i teraz, nie daj Boże, bieda! ». Dobrzy są.

Dobre, litościwe Wilno.

III

Rzeka Wilia wiele potrafi. Z wysokich pagórków, z ulic, z podziemi, z całego Wilna i okolicy spływa woda do Wilji i jest dobrze. Ale nie daj, Boże, powodzi! Bo Wilji jest ciasno, bo ona zaraz wylewa. Wpada z szumem do mieszkań i zabiera meble, zostawia zgniłe pniaki i muł rzeczny, wpada do piwnic i wymiata kartofle i towary, budulec zewsząd ściąga do wody.

Rzuciła się nie tak dawno na Bazylikę na placu i tak poburzyła fundamenty, że katedra grozi zawaleniem. Wzięto się tam do poprawiania a porządkowania. Robotnicy zaczęli opukiwać podmurowania pod ziemią i oto natrafili na piwnicę królewską, gdzie trzy suche szkielety, zamurowane jeszcze za dawnej, wolnej Polski, świeciły zaśnieżnionymi koronami.

Zbiegło się całe Wilno, by uczcić relikwie królewskie, które nigdy Polski w niewoli nie widziały. Oczyszczono koronę króla Aleksandra, pozbierano drobne kosteczki młodziusieńkiej królowej Elżbiety i zaczęto mozolnie naprawiać tkaninę ze złotogłowi, rozpostartą na trumnie pięknej i nieszczęśliwej królowej Barbary. Odprawiono uroczyste nabożeństwa za tych drogich i niespodzianych zmarłych wileńskich.

IV

Po kościołach wileńskich uśmiechają się radosne twarze świętych i aniołów. Kościoły te są jakieś cieplejsze, czystsze, bardziej widne, niż gdziekolwiek indziej. Pogodniej jest w

tych kościołach. Matka Boska Radosna króluje w nich niepodzielnie.

Pogodna jest także twarz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Uliczka, która wiedzie do jej kaplicy, biegnie pod górę. Tam wprost na kamieniach klęczą ludzie, a niektórzy na kolanach posuwają się od początku uliczki, aż do ołtarza nagórę. Ołtarz leży w arkadzie, jakby w bramie ponad ulicą. Pod tą arkadą przechodzi się i przejeżdża. Taki jest bliski ten cud, tak nieobstawiony żadnymi trudnościami ni zakazami. Zdołu można ją widzieć, uklęknąć, wstać i pójść dalej.

V

Kochamy maleńkie dworki, domki z drzewa z gankami na kolumnkach, których tyle jest w Wilnie. A ile tam ogródków! Przez drewniane sztachety widać zarosłe ścieżeczki. Kołyszą się floksy i słoneczniki, owocują drobnym owocem staruszeki jabłoneczki. Kochamy takie ogródki. Dobrze jest dzieciom na tych zarośniętych ścieżkach. Nikt ich z grząd i trawników nie spędza. Dzieciom jest dobrze w Wilnie. Wilnianie są łagodni i nie lubią się gniewać. Nie są tacy prędcy, żeby zaraz krzyczeć. Dzieci wileńskie są dlatego śmiałe i wesole.

VI

Na niezliczonych drzewkach i krzewach wileńskich, na krzakach bzu, jaśminu, czeremchy, malin, kalin, i szczytn i olszyn śpiewają w maju słowiki. Jest ich tam bezliku. Jeśli się odejdzie od miasta choćby na paręset kroków w tej porze, kiedy słowiki śpiewają, a jest to pora poobiednia i wszystkie kościoły dzwonią na Anioł Pański, to krzyk słowików jest tak głośny, że się wydaje, że już już przekrzyć gotowe nawet ten chór dzwonów, taki przecie potężny. Aż się człowiek łapie za głowę i wraca bliżej miasta, na to tylko, aby się upewnić, że jednak dzwony głośniejsze są od słowików.

Boże, zachowaj od złego swoje wileńskie słowiki.

KARTKI Z PAMIĘTNIKA

Właściwie muszę się przyznać, że już nie raz nosiłam się z myślą pisanie wspomnień i wydarzeń z mego życia. Niestety powstrzymywała mnie jedna myśl: gdzie przechowywać te notatki? Wszystko to cobym piła byłyoby dla Niemców, a niewątpliwie i dla bolszewików bardzo ciekawą lekturą. Pewnego rodzaju historię rodziny poszukiwanej przez gestapo jak i enkawude przyjąłoby bardzo chętnie zarówno w jednej jak i w drugiej «instytucji». Oczywiście można by schować. Skrytek wszelkiego rodzaju nie brakło w polskich mieszkaniach, lecz nie na tak błahę przeznaczone były rzeczy. Więc teraz, gdy po sześciu latach pobytu w Kraju (tak tylko określałam te sześć lat niewoli, niewoli, która trwa nadal, niewoli coraz straszniejszej, gdyż myślę, że każdy Polak wie czym te sześć lat było dla Ojczyzny i jak wyglądało w ciągu nich życie w Polsce). Więc teraz, gdy po sześciu latach «trwania» w Kraju znalazłam się nagle we Włoszech, gdy zatrzymujący się przed domem samochód nie budzi obaw rewizji enkawude czy gestapo, zabrałam się do pisania tego co: widziałam, przeżyłam i czułam.

Jestem wilnianką, chociaż mogłabym poddać to dyskusji. Czy mam się uważać za wilniankę, czy za warszawiankę? Urodziłam się w

Warszawie. Połowę, a nawet większą część swego życia spędziłam w Warszawie. I kocham to cudowne miasto szalenie. A jednak... uważam się za wilniankę. Wilno do siebie przyciąga. Nikt chyba poznawszy je nie mógłby go nie kochać. Nie znajdę nigdzie takich kościołów, uliczek i zaułków, a przede wszystkim ludzi prostych, miłych, «przeciągających» z wileńska. I jeszcze, nigdzie drzewa jesienią nie są tak piękne jak w Wilnie. Jesień wileńska ciepła, słoneczna, grająca morzem barw złotych liści. Taką też była jesień 1939 roku.

Rok 39 i 40 pozostawił w pamięci mojej wiele wspomnień, ale wspomnień dziecinnych (kiedy rozpoczęła się wojna miałam dziesiąty rok). Nagły przyjazd ze wsi do domu. Przygody podczas drogi ze zmobilizowanym wojskiem. Wyjazd ojca. Pierwsze alarmy. Wszystko to łączy się z przygnębieniem panującym w domu i głosem speakera w radio: «uwaga, uwaga, ogłaszam alarm dla miasta Warszawy», a później «co ma trzy, uwaga, nadchodzi».

Wkrótce smutek i przygnębienie zmieniły się w rozpacz i popłoch cofających się wojsk. Dom nasz wtedy zapchany był uchodźcami z Warszawy. Aż wkońcu wszystko trzaśło. Bolszewicy przekroczyli granicę Polski. Pamiętam, że przez trzy

dni po wejściu wojsk sowieckich do Wilna nie wychodziłam z domu. Gdy wreszcie znalazłam się na ulicy nie mogłam poznać miasta. Zupełnie jak wymarłe. Od czasu do czasu przełykały się grupki ludzi jaknajgorzej ubranych, z pochylonymi głowami, a między tym bandy obdrapanych i brudnych «sołdatów» bolszewickich.

Z perspektywy czasu niektóre rzeczy z tamtych chwil wydają się komiczne. Bolszewicy zaczęli robić masowe rewizje szukając broni, a przy okazji kradnąc co się da. Wilnianie, aby uchronić swe rzeczy i nie wyglądać na burżujów zaczęli ubierać się w najgorsze łachy wkładając, często płaszcze na lewą stronę itp. Ale nie dość tego. Zaczęto prze-meblowywać mieszkania. W pokojach gremialnie robiono «prze-pierzenia» z szaf, pledów, kredensów i porobionych w ten sposób klitek umyślnie się nie sprzątało zostawiając nieposłane łóżka i często nawet po środku, na honorowym miejscu naczynia nocne. Niestety skutek tej dekoracji mieszkań był całkiem odwrotny niż się spodziewano. Bolszewicy wchodząc, z uznaniem oglądali szafy i koce mówiąc: «a wot bogato żywotie, burżuje».

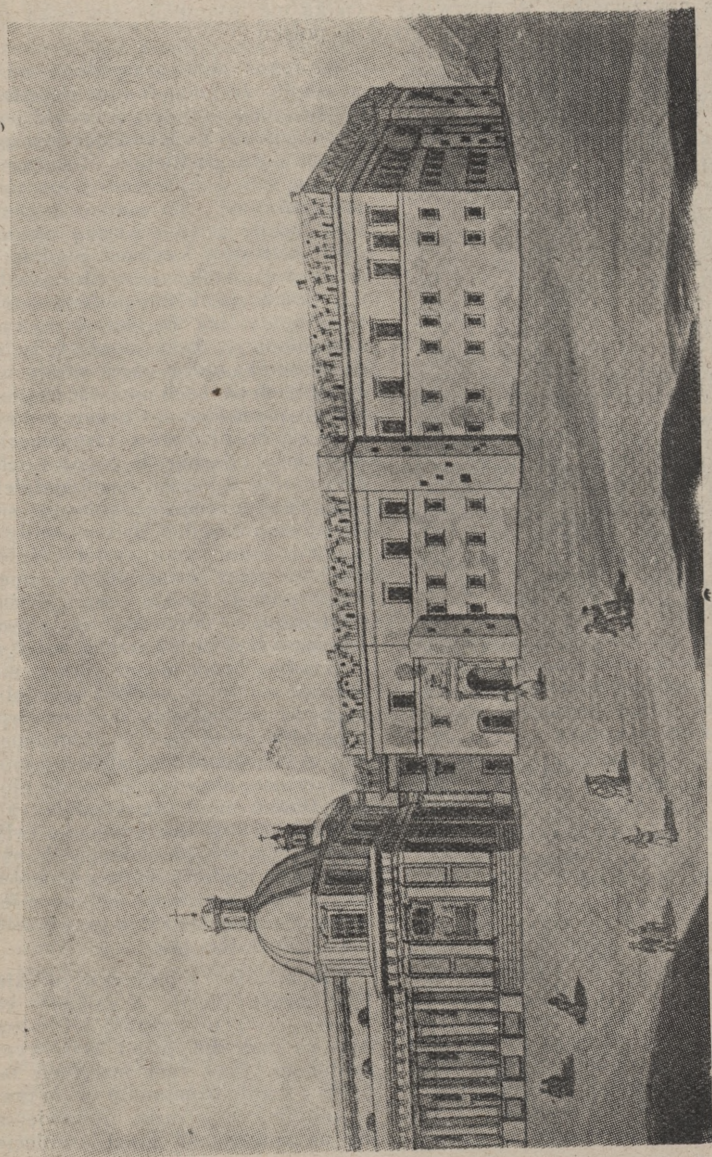
Nasze mieszkanie podobnie wyglądało. Warunki życia były ciężkie. Trzeba było zarabiać. A więc: matka wynajęła salon jakiemuś inżynierowi z rodziną (przyszli volksdeutsche). Jednakże mieszkali u nas niedługo. Gdy się wynieśli pokój był w pożółkłym godnym stanie. Ściany poplamione, meble zniszczone, a kwiaty, których mieliśmy bardzo dużo, zupełnie zmarniały, gdyż mili sublokatorzy wylewali tam różne nieczystości. Później w mieszkaniu naszym był sklep komisyowy i jadłodajnia. Aż raptem jeden wypadek zerwał wszystko. Późną wiosną 40 roku aresztowano mamę. Wszystkie sta-

rania ciotki, aby uwolnić ją były całkiem daremne. Z mieszkania na Zygmuntowskiej musieliśmy się wynieść. Zamieszkaliśmy na Tartakach. Brat chodził do Szkoły Technicznej, a ja do swojego powszechniaka. Zaczął się rok smutny, ciężki, przepełniony myślą o matce. Jedynym roz-weseleniem były kawały i dowcipy przynoszone przez Krzyśka z «budy».

Wilno wtedy było «litewskie» i nazywało się «Vilnius», a ul. Mickiewicza była ulicą Gedymina. Na sklepach napisy litewskie i urzędy obsadzone przez litwinów. Tylko jedna rzecz dziwna. Na Górze Zamkowej koło flagi litewskiej powiewała chorągiew sowiecka. Później gdy Litwa stała się 16 Republiką Sowiecką jasne już było i zrozumiałe, że na mieście więcej się widzi żołnierzy bolszewickich, niż litewskich, a wszystkie więzienia i urzędy są w rękach enkawude.

W szkołach uczono nas dwóch języków: litewskiego i rosyjskiego, poza tym historii i geografii Rosji, a na godzinach polskiego pisałyśmy wypracowania pt. «dola klasy robotniczej w kapitalistycznej Litwie» itp. Religia jako przedmiot została zupełnie wykreślona. Nie wolno było mówić pacierza przed lekcjami i po lekcjach.

Klasa moja była grupą dziewcząt bardzo żytych. Wszystkie nastawione byłyśmy opornie zarówno do władz szkolnych jak i ich rozporządzeń. Postanowiłyśmy, że będziemy dawnym zwyczajem szkół polskich odmawiać modlitwę przed lekcjami. Robiliśmy to i udawało się nam. Pewnego razu zaszedł wypadek, po którym bałyśmy się, że pociągnie za sobą smutne konsekwencje. W poniedziałek przed pierwszą godziną historii prowadzonej przez litwinkę mówiłyśmy modlitwę. Nagle drzwi się otworzyły i stanęła



Zamek dolny w Wilnie, według starej ryciny z XVIII wieku

w nich nauczycielka. W pierwszej chwili ze zdziwieniem spojrzała po stojących na baczność uczennicach. Dziewczynki na chwilę przycichły podjęły na nowo głośno słowa modlitwy. Na twarz litwinki wystąpiły krwiste rumieńce. Postąpiła na środek klasy, lecz widząc na sobie twarde spojrzenia niemilkających dziewcząt obróciła się nagle i biegiem wyleciała z klasy zatrzymując za sobą z hukiem drzwi. Po jej wyjściu, jeśli można jej szybki odwrót nazwać wyjściem, w klasie zapanał ruch niebywały: « Co będzie? » « Czy powie Majstasowi? » (Tak nazywałyśmy dyrektora litwina z powodu jego tuszy. Majstas była to pewnego rodzaju kooperatywa jatek i wędliniarni). Po piętnastu minutach nauczycielka wróciła do klasy i niby nigdy nie zaczęła prowadzić lekcję. Gdy po tygodniu żadnych nie było skutków klasa cała zaczęła triumfować i ogólne przekonanie było: « nic nam nie zrobią, bo boją się nas ».

Muszę tu wtrącić, że gdyby to było później, w Warszawie, napewno nazwałybyśmy cały ten występek sabotażem. Wtedy jednak słowa tego jeszcześmy nie znali.

Litwini chcieli jaknajbardziej zlitwinizować Wilno. Ponieważ na ulicy, języka litewskiego zupełnie się nie słyszało, więc wydano rozporządzenie, że wszystkie napisy i reklamy sklepowe mają być w języku litewskim. Pozatem zaczęto nazwiska polskie przerabiać tak, by miały brzmienie litewskie, więc zaczęto dodawać końcówki « is » np. Kowalskis i « aitie » (dla panien). W szkole miałyśmy z tego powodu awantury. Nauczycielki wywoływały nazwiska uczennic dodając taką właśnie końcówkę. Skutek był taki, że dziewczęta nie wstawały i nie odpowiadały tak długo aż nauczy-

cielka nie wymieniła nazwiska jej po polsku.

Ktoregoś dnia oznajmiono nam w szkole, że po południu odbędzie się świetlica na której obecność jest obowiązkowa. Zaciekawione tym zjawiliśmy się gremialnie. Usadzono nas na sali gimnastycznej pięknie udekorowanej czerwonymi flagami i na każdej ścianie wiązką okropnych portretów Lenina i Stalina. I oto bez żadnych zapowiedzi zjawiły się przed nami na podwyższeniu dwie figury, jak się okazało byli to komсомолcy, dwaj rosyjscy żydzi (komсомо́л - rodzaj partii młodych). Po długich perach na cześć Stalina zaczęli namawiać nas byśmy zapisywały się do pionierów (organizacja młodzieży). Zachęty te poparte były całą litanią korzyści i udogodnień jakie nam przyniesie zapisanie się do tej organizacji. Cały ten « miły » wieczór zakończony został odśpiewaniem przez « wszystkich » międzynarodówki i kilku jeszcze pieśni sowieckich. (Oczywista te słowa « przez wszystkich » trzeba wziąć w cudzysłów, gdyż my miałyśmy już wprawę w braniu udziału w podobnych uroczystościach i śpiew nasz polegał na tym, że z wielkim zapalem otwieraliśmy jaknajszerzej mogłyśmy usta nie wydając wcale głosu). Dodać muszę, że wszelkie tego rodzaju agitacje przyjmowane były z bardzo miernym efektem. W naszej szkole zapisało się do pionierów 48 uczennic na około 400, po miesiącu wypisało się 22, a przy końcu roku było tylko 16.

Uroczystości wszelkiego rodzaju były bardzo częste. Wyglądało to w ten sposób: uroczystość ogłoszona była na parę dni przed właściwym terminem. Przy tym instytucje fabryki i szkoły oznajmiały swym pracownikom, że w razie niestawienia się na uroczystość grozi usunięcie

z pracy lub szkoły. Nawet świadcstwo lekarskie w czasie choroby nie zawsze było honorowane. W dzień uroczystości cała ludność Wilna zbierała się na punktach gdzie wręczano im chorągwie, transparenty i portrety Stalina, a następnie cały ten pochód szedł zupełnie pustymi ulicami wśród kordonu żołnierzy bolszewickich. Na Placu Łukiskim ustawione były trybuny, na których siedziały «fiske» przyjmujące pochód otoczone grupką enkawude, komsomolców. Na całym placu porożstawiane były głośniki radiowe. Co chwila rozlegał się z nich głos: «niech żyje ukochany wódz sołnyszko Stalin!», «niech żyje czerwona armia!», «niech żyje wielka, sowiecka ojczyzna!». Po każdym takim okrzyku również z głośników zrywała się burza oklasków i okrzyków «urra, urra», «Dzdrastwujcie!» i tym podobnych oznak uwielbienia i zachwytu. Był to ponury obraz bo tłum szedł milcząc z zaciśniętymi rękami na wstrętnych, znienawidzonych transparentach. Jedną z największych uroczystości był obchód 1 maja. Trzeba trafia, że całe Wilno w tym czasie chorowało na dezynтеріę. To też pochód wyglądał dosyć komicznie, gdyż większość uczestników biegła z pośpiechem od bramy do bramy.

Miasto miało w dni powszednie również «uroczysty» wygląd jak, podczas pochodów. Na każdym domu między oknami pięter, na każdej wystawie, we wszystkich urzędach wisały nadnaturalnej wielkości «uwielbiane» twarze Stalina, Lenina, Mołotowa, Woroszyłowa i innych. Przybierane przeważnie czerwoną bibułą śmiesznie wyglądały w dni deszczowe. Rozmiękłe od wody papierowe przybrania okłapywały, a po szanownym obliczu generalissimusa płynęły czerwone strugi. Na głównych ulicach było parę sklepów

litewskich «Majstas» i «Pienas». (Kooperatywy wyrobów mięsnych i nabiału). Na każdym placyku, skrzyżowaniu się ulic głośniki radiowe ryczały cały dzień sowieckie pieśni. Na ulicach pełno żołdactwa i wyperfumowanych oficerów bolszewickich, którzy z radością murzynów wykupywali wszystkie pachnidła z zamiłowaniem, tak zlewając się nimi od stóp do głów, że w odległości metra wszyscy przechodnie dostawali zawrotu głowy. Towarzyrzyli im kobiety ubrane w świeżo nabyte pantofle na wysokich obcasach, często balowe, oraz w fantastyczne koszule jedwabne kupowane w mniemaniu, że są to nasze, burżujskie suknie spacerowe, a na głowach zielone lub czerwone berety. Pośród tego, wilnianie, przejeżdżając o najbliższych, aresztowanych lub wywiezionych. A więzienia były pełne. Łukiszki obliczone na 4.000 ludzi mieściły 12.000 aresztowanych.

Mijał jedenasty miesiąc aresztowania matki. Dostaliśmy wiadomość, że została skazana na pięć lat pracy w Karogandzie (po Omskoj żeleznoj dorogie jak określał «śledowatiel»). Przed wywiezieniem mamy dostaliśmy prawo zobaczyć się z nią. Od 8 rano staliśmy wśród tłumu ludzi pod więzieniem Łukiskim. Wreszcie gdzieś koło 11 wpuszczono nas do środka, lecz tylko brata i mnie. Szliśmy długo przez jakieś podwórce, a potem przez x korytarze pod eskortą enkawudzisty. Wprowadzono nas do ciemnego pokoju przedzielonego gęstą siatką. Po obu jej stronach w odległości metra była harjara, za którą nie mogliśmy wejść. W parę minut, przez boczne drzwi wprowadzono mamę. Mimo gęstej siatki dobrze było widzieć jak jest blada i wymęczona; mimo tego uśmiechała się. O czynsmy rozmawiali nie wiem. Pamiętam tylko jedno pytanie, które mama

zadała Krzyškowi: «jak myślisz, czy pludrakiewicz (chodziło o Niemców, tak nazywaliśmy ich) nie wybierają się przypadkiem do Wilna? «A potem odpowiedź Krzysia: «o nie, może mieliby ochotę, ale nie, wykluczone». Był to piątek, a następnego dnia w niedzielę pludrakiewiczze wybrali się — wojna niemiecko — sowiecka wybuchła. Pierwszą naszą myślą było: co zrobią z więźniami? Pobiegliśmy pod Łukiszki i ujrzelśmy jak wywożą aresztowanych samochodami jeden za drugim, jeden za drugim na stację. Ogarnęła nas rozpacz. Jeszcze mieliśmy nadzieję, zupełnie niezrozumiałą i bezpodstawną nadzieję, że mamy nie wywieźć i raptem stało się jasnym, że już koniec. Przyszła noc ciężka

i smutna przerywana nalotami. Gdzieś koło 4 nad ranem zmęczeni położyliśmy się i zasnęli. Raptem zbudził mnie dzwonek i skrzyp otwieranych drzwi i... o Boże... w drzwiach stała mama! Jak to się stało, jakim sposobem jest wolna? Nie, to nie było ważne. Jedna myśl, jedna rzecz ważna, mama jest w domu, mama jest wolna.

Później dopiero okazało się, że to, iż mama jest w domu to naprawdę cud. Odbili ją już z pociągu wraz z 2.000 ludzi, polscy kolejarze korzystając z nalotu niemieckiego.

O 9 z rana ulice Wilna przejechał policyjny motocykl niemiecki. Okupację bolszewicką zastąpiła okupacja niemiecka.



Przyjaciele

*Zajączek jeden młody,
Korzystając z swobody,
Past się trawką, ziółkami w polu i ogrodzie,
Z każdym w zgodzie.
A że był bardzo grzeczny, rozkoszny i miły,
Bardzo go tam zwierzęta lubiły;
I on też, używając wszystkiego z weselem,
Wszystkich był przyjacielem.
Raz, gdy wyszedł w łwitaniu i bujał po łące,
Słyszcy przerażające
Głosy trąb, psów szczekania, trzask wielki po lesie.
Stanął - słucha - dziwuje się...
A gdy się coraz zbliżał ów hałas, wrzask srogi,
Zając w nogi.
Spojrzy się poza siebie, aż dwa psy i strzelce.
Strwożeni wielce,
Przecież wypadł na drogę, od psów się oddalił.*

Spotkał konia, prosi go, iżby się uzałił:

« Weź mnie na grzbiet i unieś! » – Koń na to: [

« Nie mogę,]

Ale od innych pewną będziesz miał załogę ».

Jakoż wół się nadarzył. – « Ratulj, przyjacielu! »

Wół na to: « Takich, jak ja, zapewne niewielu

Znajdziesz, ale poczekaj i ukryj się w trawie –

Jałowica mnie czeka, niedługo zabawię.

A tymczasem masz kozła, co ci dopomoże ».

Kozieł: « Żal mi cię, nieboże,

Ale ci grzbietu nie dam; twardy, nie dogodzi;

Oto wełniasta owca niedaleko chodzi,

Będzie ci miękko siedzieć... » Owca rzecze:

Ja nie przeczę,

Ale, choć cię uniosę, pomiędzy manowce,

Psy dogonią i zjedzą zająca i owcę;

Udaj się do cielęcia, które się tu pasie ».

« Jak ja ciebie mam wziąć na się,

Kiedy starsi nie wzięli » – ciele na to rzekło

I uciekło.

Gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły.

Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.

TRZY WIGILJE

Rok 1938.

Majestat Tatr unosił się nad głową Władka, jak sklepienie świątyni. Na gotyckich koronach świerków — wiatr grał, jak na organach; okiście puszyste i lśniące zsuwały się z gałęzi z szelestem podobnym do szmeru modlitw w kościele; wczesny zmrok porozwieszał na zboczach gór granatowe cienie — jak w mrocznych nawach kaplic.

Tatry stały w urodzie swej uroczyste i ciche, osnute mgłą i legendą.

— Mógłbym uwierzyć dziś, że w taki wigilijny wieczór można spotkać w górach Matkę Boską z Dzieciątkiem na ręku — szepnął Władek.

Zaczął zjeżdżać powoli po zboczach Czerwonego Wierchu — przytłoczony pięknem większym, niż piersi ludzkie pomieścić mogą.

Lecz pęd narastał, unosił, porywał. Narty niosły, jak skrzydła; sprężyste, młode nogi ugiwały się lekko dostosowując się do terenu, pierś wypełniała się czystym, górskim powietrzem i radość, szumna radość z urody świata młodości, poczucia własnej siły i sprawności mięśni — szumiła pędem w uszach, porywała.

Jak wiatr halny minął czarne już, Piekielko i zbocze Giewontu i z nagłą zobaczył światła Kondratowej. Więc

dumna, szumna chrystiania zaniósła go szeroko i pochyliła nisko nad ziemią. Stała.

W schronisku było ludno i wesoło. Dwie piękne góralki, Anielka i Bronka ubierały choinkę. Stary gazda strugał kózikiem stojak, gruba gaździna zaścielała stół białym płotnem.

Władek ruszył w dalszą drogę. Śmigał teraz wężykami po zboczu zarosłym pniakami; na prawo zostawił Goryczkową, na lewo — błyszczącą zdaleka Myślinicką Turnię ze stacją kolejki górskiej na Kasprowy Wierch, potem Kalatówki i pędził wprost na Kuźnice. Wpadł na drogę i znów po prawej przesunął się w dali Nosal, Mnich, Bystre, Jaszczurówka i maleńka kapliczka na Cyrli; na lewo zaś — milcząca Krokiew i pierwsze domy na drodze do Białego. Nawprost miał pomnik Chałubińskiego z ciemną rzeźbą górala.

Skreć — i wpadł na Krupówki rozdzwonione dzwoneczkami sanek i okrzykami „Hajta, wiśta”, i przedłużone w nieskończoność światełkami kolejki górskiej na Gubałówkę, kolorowe od guń i cuch góralskich, muszelek i koralu na kapeluszach, spódnic i chustek kobiecych, haftów i parzenic.

Wśród sań, narciarzy, koników góralskich, wśród świateł, gwaru, śmiechu i pokrzyków Władek szedł wolniej, oszołomiony, szczęśliwy, zmęczony.

Zdejmując przed domem narty — widział przez okno biały stół, kolorową choinkę i — głowę Matki pochyloną pod światłem lampy...

Rok 1942. W Armji Podziemnej.

Mróz szedł rzeźki i krzepki, dwoniąc na lodem skutej ziemi i trzaskając w gałęziach drzew. Było pięknie i świetliście w tę noc wigilijną.

Ale zima roku 1942, tak, jak i trzy poprzednie była w Polsce zimą głodu, chłodu i niewoli. Więc w tę noc świętą na ziemiach polskich nie brzmiały wesołe dzwony Pasterki. Kościoły zamknięte były przez Niemców na głu-

cho. Zamarły wszelkie objawy życia i radości zepchnięte w podziemia, a ludzie tulili się przy wygasłych ogniskach, drżący, oczekujący w każdej chwili dudnienia niemieckich butów na śniegu, butów, niosących śmierć lub mękę.

Władek, ubrany w wytarty korzuch szedł przez wieś, daremnie szukając w okienkach chałup odrobiny światła lub odbłasku ognia. Nie marzył już o zobaczeniu przez okno zapalonego drzewka świątecznego. Wieś wydawała się wymarła.

— Na białej drodze ukazała się nagle sylwetka ludzka. « Niech będzie pochwalony... » powiedział do nadchodzącego człowieka Władek.

— Na wieki wieków... — chłop przystanął na drodze i uważnie patrzył na Władka.

— «Piękna dziś noc Chrystusowa, GWIAZDY świecą...» powiedział.

— Jeno DZWONY milczą — odpowiedział chłopiec.

Stary wieśniak uśmiechnął się i zbliżył jeszcze bardziej.

— Na lewo zagajnik i młyn, potym las. Na prawo pole i brzezina. W brzezynie jest polana. Zakręć za kapliczką... zaszeptał, a potym głośniej:

— Idzcie z Bogiem... i rozstali się.

« Gwiazdy » i « dzwony » było to hasło dzisiejszej akcji Armji Krajowej. Serce młodego żołnierza zaczęło bić dumą radosną: « Oto czuwa i żyje Naród polski, oto wre mocny nurt podziemnego życia polskiego. Oto nie śni się nawet Niemcom, drzemiącym przy sutych ogniskach, że śpią na wulkanie takiej siły, takiego umiłowania rodzonej ziemi i wolności, jakiego ich serca bijące « zu Befehl » nigdy nie zrozumieją.

I nie śni się im także, że nim ta noc upłynie, Podziemna Armja Rzeczypospolitej, otrzyma broń, złoto i żywność od swego Rządu w W. Brytanii. Otrzyma plany operacyjne — opracowane w polskich sztabach, oparte na raportach sztabów podziemnych, że za chwilę wolne polskie samoloty ukażą się nad tą okupowaną przez Niemców ziemią polską, i żołnierze polskich Sił Zbrojnych w W. Brytanii zameldują się w podziemnych dowództwach Armji Krajowej...

Władek odetchnął pełną piersią. « Przydusili nas jeno,

ale nie zmagli » — pomyślał radośnie. Z lewej strony drogi dobiegło oczekiwanie psów. « To już młyn » powiedział do siebie Władek i przyspieszył kroku. « Łada chwila powinienem być na wysokości polany. Zaraz za zakrętem kapliczka ».

Na wąskiej drodze, okolonej z obu stron lasem, zrobiło się ciemno, lecz biała smużka ścieżki prowadziła nieomylnie. Ostry zakręt drogi był coraz bliższy. Władek biegł prawie. Minął go szybko i... stanął. Ciemny teren zrzurowiska był oświetlony jaskrawą łuną pożaru. Do uszu Władka poczęło dochodzić trzaskanie wystrzałów karabinowych. W Poradłowie, obok którego za kilka minut miało nastąpić lądowanie spadochroniarzy — byli Niemcy.

« Cóż za nieszczęście! coś za przypadek fatalny; że właśnie dziś musieli Niemcy spaść na tę nieszczęsną wieś. Dziś, gdy właśnie w londyńskim radjo Mazurek Chopinowski zapowiedział odlot polskich skoczków z W. Brytanii do Polski. Już są w drodze. Już ich nie można odwołać ». Serce Władka biło gwałtownie. Nie myślał o tym, że za chwilę sam może być w niebezpieczeństwie. Oparł się plecami o drzewo i trwał w męce rozpacz i bezradności.

— Wylądują prosto w ramiona Niemców albo — nie wylądują wcale, nie zasilą wyczerpanych magazynów broni i amunicji... — snuł czarne myśli.

O parę kroków od niego wyrosła nagle sylwetka ludzka, błysnęła lufa rewolweru.

« Hände hoch! » — powiedział ostry głos.

Za późno było działać. Karygodnie zaniedbał ostrożności i kara przychodziła rychło. Podniósł ręce do góry, ale mózg już pracował sprawnie, wążąc wszelkie możliwości ucieczki, dostrzegając wszystko.

Tymczasem czarna postać wyłoniła się z cienia. « Gwiazdy » zaszeptał inny głos. « Dzwony » odszepnął radośnie hasło. Lądowisko — pomimo niemieckiego terroru szalejącego w pobliskiej wsi — było obstawione przez Armię Krajową.

— Aleś się nie wysilił na ostrożność — powiedział znowu ostry głos — Można cię było wziąć garścią, jak pisklę.

— Zatkła mnie ta łuna — zaczerwienił się w ciemnościach Władek. Lecz nagle zapomniał o wstydzie i upokorzeniu. Zbliżył się żywo do ciemnej postaci.

— Co będzie, panie poruczniku, co teraz będzie?...

— Jak to — co będzie? Lądowanie odbędzie się po drugiej stronie drogi koło Kopicy.

Władka «zatkąło» po raz drugi tego wieczora.

— Koło Kopicy, o 4-ry kilometry od wsi, którą palą Niemcy?...

— Właśnie, o 4-ry kilometry od wsi którą palą Niemcy.

— powtórzył za nim opryskliwie porucznik i odwrócił się do swego oddziału:

— Pierwszy pluton, biegiem po latarnie i wracać tu do mnie.

Pierwszy pluton kopnął się rażno, by wykonać rozkaz, Władek machinalnie poszedł za porucznikiem w głąb lasu.

Punktualnie o godzinie 12.30 po północy odsłonięto czarne zasłony z ręcznych latarni, obstawiających zrzutowisko w kształcie trójkąta. Co do minuty również rozległ się grzmot lecącej nisko maszyny. 1000 konne motory grzmią coraz bliżej i bliżej. Serca oczekujących żołnierzy biją szybciej i szybciej. Huk jest tak potężny, że słyszać go na wiele mil wkoło. Słyszą go i Niemcy i wiedzą co oznacza. Po okolicznych posterunkach Ssmani siadają w pośpiechu na auta i motory, wyposażone w karabiny maszynowe. Zaczyna się wielka gra, wyścig ze śmiercią.

Pierwsze okrążenie samolotu. Żołnierze podziemni wytężają wzrok, ale nic nie spada z powietrza. Drugi nalot — jeszcze bardziej gromki i oto białe punkciki zawisły w powietrzu. Jeden, dwa, trzy, pięć, sześć... to ludzie. I znowu: jeden, dwa, pięć, sześć...to zasobniki, broń i amunicja.

«Biegiem, biegiem!» pada ostra komenda. Ale nie była potrzebna. Lądujących pochwyciły bratnie ramiona, uwolniły od spadochronów, odebrały bagaże. Jak z pod ziemi wyrosły chłopskie sanie, jedno, drugie, trzecie... «Odjazd»... polami, manowcami, naprzetaj, przez zagony... Za chwilę zbawczy las zamknął się za nimi. Ocaleni...

W Kampinowskiej puszczy, przed szalasem dowództwa leśna wiara czekała na wyjście skoczaków. Nikt się nie kwapił na Wigilijną wieczerzę, nikt nie czuł głodu. Wyszli nareszcie po odprawie, zmęczeni lecz uśmiechnięci i radosni i natychmiast wpadli w ręce czekających. Każdy chciał ich dotknąć, usłyszeć choć słowo, zobaczyć. A oni także wpa-

trywali się w wychudłe, pociemniałe twarze niezłomnych żołnierzy podziemnych, szukając blizkich, drogich, znajomych. Lecz bezładną rozmowę przerwał cichy sygnał: « Zbiórka »...

W świetle ognisk stały leśne szeregi wyciągnięte w równy czworobok. Pomimo różnych mundurów i broni rzucała się w oczy żołnierska postawa, wyszkolenie i karność. Było to Wojsko Polskie, zwarte i karne, prawowitym Władzom podporządkowane, walczące o swą ziemię.

Dowódca w asyście adjutanta stanął w środku czworoboku.

« Bacność! W prawo patrz! » — komenda przebiegła szeregi jak iskra elektryczna.

« Rozkaz Noworoczny Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej do Polskich Sił Zbrojnych »... zabrzmiał żołnierski głos.

Rok 1945. W Wielkiej Brytanii.

Na głównej sali szpitalnej stoi wysmukła choinka. Polskie siostry w białych fartuszkach ubrały ją w barwne ozdoby, osypały watą, jak śniegiem i tak strojną zostawiły.

Władek patrzy na choinkę ze swego łóżka i myśli, jak to « wtedy » było, w tę ostatnią, Wigilię w domu... Cały dzień błądził wówczas w Tatrach i myślał o cudzie gór i śniegu, o urodzie okiści na smerkach, o zawrotnej rozkoszy pędu na nartach.

A potym... dom. Zdaleka widoczne przez okno drzewko wigilijne, stół, siano pod obrusem, opłatek, drogie głowy pod światłem lampy, kolędy, Pasterka... Minęło, przeszło... i oto Władek leży w szpitalu, zdala od Tatr, od domu, od Polski. Leży tak całe miesiące i... nigdy już nie wstanie... Wojna odebrała mu nogi.

Chłopak spogląda z nienawiścią na spowite watą i bandażami resztki nóg, tych nóg, tak cudnie niegdyś młodych i sprężystych, nóg — dumy Władka na wszystkich zawodach sportowych. Już nigdy nie zaniósł go na Halę Gąsienicową, nie śmignął z Kasprowego, nie zaprowadzą

na Zawrat. Już nigdy nie będą przemierzać lasów i pól, miast i... kanałów Polski Podziemnej...

« A bodaj że to... bodaj że to! »... Pięści Władka zaciskają się, a po chwili już je musi włożyć do ust i gryźć, aby nie wydać jęku, nie krzyczeć z rozpacz, nie wyć jak zwierzę.

Naciąga szary, szpitalny koc na głowę i trzęsie się w szarpiącym łkaniu. Drga w nim każda żyłka, płacze cała dusza wielką, rozpaczliwą falą.

— I na co to wszystko, na co to wszystko — woła we Władku rozpacz. — Na co przydało się moje kalectwo i męka oświęcimska Ojca, na co grób Matki i — groby, groby polskie zalegające świat cały od tajg syberyjskich i śniegów Norwegii aż po równik. Na co?... na co? »

Władek zaciska pięści aż do bólu. Wnętrza szarpie mu bezgłośnie łkanie, co zrywa się w piersi, a potem targa całym ciałem, jak trzcina bezwolną.

Przy drzwiach rozlegają się ciche kroki. Władek przytula się w sobie, wstrzymuje oddech. Nie pokaże siostrze ani lekarzom swej « słabości », uda że śpi.

Siostra szpitalna mija jego łóżko na palcach. Ale ostrożne kroki zbliżają się ciągle. Władek wie, że to Janek, żołnierz z 2-go Korusu, ociemniały na skutek rany odniesionej pod Monte Cassino.

Władek leży nieruchomo i sapie przez nos. Uduje że śpi. Ale Janka nie oszuka. Ślepego chłopca wiedzie instynkt nieomylny, prowadzi serce. Ślepy chłopak widzi mękę Władka lepiej niż dobra, troskliwa siostra.

Prawie bezbłędnie kładzie rękę, na oczach kolegi i uśmiecha się miękko.

— Wiedziałem, — powiada — wiedziałem. Musimy o tym pomówić. To jest ważne dla nas obu...

Siada omackiem na białym, szpitalnym stołku i nachyla się nad twarzą kolegi. Jasne włosy opadły mu na czoło, i ta twarz skupiona i chłopięca z kalectwem ukrytem pod powiekami wydaje się Władkowi... natchniona.

— Widzisz, ja wiem jak to jest — powiada po namyśle. — Ja wiem dobrze, bo przecież i ja... także...

Ty sobie teraz tu leżysz i myślisz o tamtych... o tamtym... wspominasz rozpamiętujesz... rozpaczasz...

Ty sobie teraz myślisz, że to wszystko, cała ta walka Narodu Polskiego, wszystkie poświęcenia, ofiary, wysiłki, to wszystko na nic. Że tamta krew z wrześnień, i we Francji, i w Norwegii, i tych, co w pustkach Syberii, i tych, co w płomieniach nad Anglią, i w wodach Kanału, mórz i oceanów, że Tobruk, Falaise, Arnhem, i ci z Armii Krajowej, i ci z obozów i kaźni niemieckich — że oni wszyscy to nic, niepotrzebnie, zadarmo, na marne...

Władek poderwał się na łóżku. Oczy mu pały.

— A może tak nie było? a może tak nie jest? — krzyknął. — Może nie daliśmy z siebie wszystkiego, co było można, więcej niż było wolno? Może nie wykrwawiliśmy się na wszystkich kontynentach świata, jak nikt inny w tej wojnie? I co z tego?... Idź do Polski i zobacz jak tam « przyjaciele » mordują twoją rodzinę, gwałcą siostry, katują braci, za to... że walczyli o wolność, że bronili swej ziemi przed Niemcami. Idź na Syberię, a spotkasz tam tych samych, Polaków, którzy walczyli ramię w ramię z Anglią i Ameryką — osądzonych, jak zbrodniarze. Idź, zobacz.

Władek umilkł, zdyszany. Oczy mu się paliły gorączką. młodzieńczą twarz wykrzywiła gorycz, ręce drżały. Rzucił się na poduszki i milczał chwilę. Potym podjął znowu spokojniej:

— O, nie mów mi o tych naszych nadziejach, sprzymierzeńcach, wybawicielach, którzy nam za krew i braterstwo broni zapłacili Jaltą, Teheranem — okupacją Polski. Nie mów mi, żeś uzyskał to, o coś pod Monte Cassino walił łbem w bunkry niemieckie tak zapalczywie, aż żeś tam oczy zostawił. Nie mów mi, że moje nogi i ta wszystka krew zdały się na co krajowi. Bo... jeśli i teraz powiesz mi że nie mam racji, że nie ma powodu do goryczy i rozpacz, to chyba dlatego że... że jesteś ślepy...

Janek podniósł głowę opuszczoną dotąd na piersi. Z pod pustych powiek wyciekały jedna po drugiej... łzy.

— Nie, nie powiem tego... Masz słuszość, Władku. I w tym, że daliśmy wszystko, co taki naród, jak nasz dać mógł, że daliśmy więcej niż mogliśmy. I w tym, że gorzką nam zapłacono monetą — niewolą. W końcowym tylko wniosku nie zgadzam się z tobą.

Czy pamiętasz słowa wielkiego Amerykanina? «Lepiej paść w sprawie która zwycięży, niż zwyciężyć w sprawie, która padnie».

Otóż widzisz, my jesteśmy tymi, którzy padli w sprawie, która zwycięży, a jednocześnie tymi, którzy zwyciężą razem ze Sprawą. Bo widzisz... mogą padać ludzie i systemy polityczne, państwa i ustroje. Ale są wartości, które upaść nie mogą, bo są wieczne — jak Bóg.

O tych wartościach mówiła Karta Atlantycka. O te wartości walczył świat, póki się nie zagubił, póki nie zatracił w przetargach sensu tej wojny. O te wartości walczyła Polska i — walczy dalej samotna. Za nie płaci krwią. I wierz mi, te cierpienia, te ofiary, ta walka, opłacą się nam w skali historii...

Władek poderwał się znowu na łóżku.

— W skali historii? Za ileś tam lat czy wieków? A tymczasem najwartościowszych ludzi wywiozą nam na Syberję, wyniszczą gospodarczo, wynarodowią, zabiją duszę Narodu... A my będziemy czekać na efekty w skali historii?...

— Znowu nie masz racji, Władku. Duszy narodu nie można zabić tak łatwo. Nie zdajesz sobie widocznie sprawy, jakie instynkty samozachowawcze, jakie instynkty samorodne drzemią w każdym, a zwłaszcza naszym narodzie. Jak silnym cementem jest ta spuścizna po ojcach i dziadach, którą stanowi język, religja, cele, myśli, tradycja, kultura. Jak mocne jest w nas umiłowanie ziemi. Wierz mi, że ażeby zniszczyć duszę naszego Narodu, musiałbyś wytępić wszystkich Polaków, gdziekolwiek się znajdują.

— No, dobrze, przypuśćmy że zachowamy tę duszę. Ale co dalej?...

— Dalej? Będziemy walczyli. «Tylko niebo zdobywa się męczeństwem, ojczyznę zaś — bohaterstwem» powiedział Szczepanowski. Walczyliśmy przez tyle wieków, będziemy walczyć i teraz. Kiedy? Gdzie? Jak? Nie wiem. Ale wiem, że będziemy walczyć, gdy przyjdzie taka godzina. I wiem że, będziemy zwyciężać i padać, i znowu zwyciężać, bo... taka nasza dola na tym szlachu, na który rzuciła nas ręka Boga; bo... tak nam gdzieś, przed wiekami przeznaczono: stać na straży, padać i — zmartwychwstawać»...

Władek patrzył na kolegę szeroko otwartymi oczami.

— I ty wierzysz w to wszystko, co mówisz? — zapytał.

— Wierzę tak, jak wierzę w to, że jutro znów będzie dzień, a za parę miesięcy, na miejscu tego śniegu, co leży za oknami — będą rozkwitały krzewy i trawy. Takie jest prawo boskie, na które ludzie, choćby najsilniejsi — nie poradzą.

Jedynym warunkiem jest, aby te trawy i ziarna, leżące w tej chwili pod śniegiem nie były martwe, żeby żyły czekając wiosny, żeby niegniły, lecz zbierały siły do rośnięcia w górę, do przebicia lodu i ziemi, do rozkwitu.

— Może i jest trochę racji w tym, co mówisz, Janku. Toż przecież w godzinie rozbiorów Polski wydawało się, że się więcej nie podźwigniemy, a przecież przyszły powstania, a po przeszło 100 latach naród wstał do samodzielnego życia państwowego, jak ze snu, jakby ten wiek niewoli nie istniał. A znowu w 1939 roku, zdawało się, że potęgi niemieckiej, która zwała się na Polskę — nic nie złamie, a przecież... Może masz rację?... Ale powiedz mi jeszcze, jaka jest twoja rada, by nie gnić za życia jak ja, kaleka bezdomny, czekając wiosny?...

— O, rada jest prosta. Mickiewicz zawarł to w dwu zdaniach: « A każdy z was w duszy swej ma ziarno przyszłych granic. O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice wasze ».

Widzisz, my jesteśmy skazani na walkę — w naszym położeniu geograficznym. Musimy walczyć na wszystkich posterunkach: politycznym i militarnym, społecznym i kulturalnym. Ale walcząc musimy się uczyć i przygotowywać nieustannie. Musimy stworzyć — pomimo wszystko, na siłę, pokolenie obywateli lepszych i dzielniejszych i wykształceńszych, niż otaczające nas narody. Jest to jedyna rada, Janku. Uczyć się, dorastać do zadań, jakie nas czekają, i nie przestawać walczyć o nasze prawa, o prawa wszystkich ludzi i wszystkich narodów do życia, o panowanie tychże praw nad siłą. To wszystko... »

— To wszystko, lecz... tak bardzo wiele... — szepnął cicho Władek.

W przyległej sali rozległy się kroki i śpiew « Bóg się rodzi, moc truchleje »... Rannym i chorym składano życze-

nia, łamano się opłatkiem. Janek obrócił swą jasną, młodzieńczą twarz z pustymi oczodołami w stronę drzwi.

— Czy wiesz, — powiedział poprzez uśmiech — dla mnie te słowa « Bóg się rodzi, moc truchleje » mają w sobie coś z wiecznej prawdy; że ta Wielka Moc i Miłość, którą nazywamy Bogiem, jest potężniejsza niż zło, niż wszelkie złe siły ziemskie, i to dodaje mi zawsze otuchy... « Bóg się rodzi, moc truchleje »...

SYBIL DOBBIE

R E K A

Właśnie zegar na wieży kościelnej uderzył drugą, gdy Betty przeciągnęła się w swojej budce kasowej, jak tylko na to pozwalała ograniczona jej przestrzeń, odsunęła z czoła jeden kasztanowaty lok i rozejrzała się po sali. Dopiero teraz mogła to zrobić od czasu, gdy zaczęły się godziny większego ruchu w jej barze o wpółdopierwszej.

Przez ostatnie półtorej godziny żyła w świecie rąk — wielkich rąk i małych rąk, rąk dobrze utrzymanych i rąk grubych, rąk opatrzonych w pierścionki i bez nich, w rękawiczkach i bez rękawiczek. Wszystkie one były przeważnie rękami lewymi, gdyż kasa stała na lewo od drzwi i goście płynęli jeden za drugim nieprzerwanym strumieniem. Każdy podsuwał pieniądze i czek w jej stronę, często czekali chwilę na wydanie reszty i znikali, by zrobić miejsce następnemu. Zbyt była oddzielona od nich wszystkich i, podczas godzin obiadowych, zbyt zajęta, żeby widzieć więcej niż tylko ręce gości, chyba, że zrobiła specjalny wysiłek. Spojrzała na swoją rękę i dotknęła pierścionka zaręczynowego. Wiedziała, że nie był zbyt piękny — często widy-

wała ładniejsze na rękach klientów ale przecież pensja policjanta nie jest zbyt wysoka i pozatem wiedziała, że Sydney wydał na niego i tak dużo więcej, niż na to sobie mógł pozwolić. Na myśl o Sydney'u nagły uśmiech przebiegł przez twarz Betty. Zobacz go za cztery godziny. Był bardzo zajęty ostatnio i rzadko mogła go widywać, lecz dzisiaj mieli iść razem do kina.

Jakaś ręka pchnęła monetę i czek przez okienko kasowe. Była to ręka czysta, dobrze utrzymana, wyglądająca jak tysiąc innych z wyjątkiem może małej blizny, przypuszczalnie od oparzenia, poniżej paznokcia na środkowym palcu. Pomimo to jednak Betty, gdy pośpiesznie wydawała resztę i kładła monety na małe gumowe kółko w okienku, doznała — jak zawsze, gdy widywała tę rękę — uczucia jakiegoś dziwnego niepokoju, jakgdyby coś było tutaj niewyporządku, coś nieoczekiwanego. Daremnie i bez przekonania starała się sprecyzować to uczucie, lecz medytacje jej przerywała zawsze gorączkowa praca i prędko dawała im spokój.

Tego wieczoru Sydney wydawał się nastrojony pesymistycznie.

— To na nic, Betty. — mówił, gdy wracali powoli z kina — ja naprawdę łudziłem się że mógłbym mieć trochę szczęścia i szybciej być promowanym przy pomocy tej sprawy, ale nikt nie może nic odkryć.

— Mówisz o tym rabunku na ulicy Maitland, u jubilera Fergusona, prawda? — spytała Betty. — O co tam właściwie chodzi? Myślałam, że już wiesz wszystko.

— I tak i nie. — odrzekł Sydney. — Wiemy tylko o jednym prawdziwym fakcie, a i ten jest raczej niezwykły.

— Czy masz na myśli to, co podały gazety? Że to kobieta popełniła właściwe przestępstwo, pomimo, że przypuszczalnie współpracowała z całą bandą.

— Tak — odpowiedział Sydney — Stróż nocny widział ją przez chwilę zupełnie wyraźnie i przypuszczalnie poznałby ją znowu. Niestety, zniknęła zupełnie i nie możemy nawet jej śladu znaleźć, pomimo, że niema tak wiele kobiet-włamywaczy. Widocznie gdzieś się ukrywa, a jeśli jeszcze jest w tym okręgu to prawdopodobnie pod doskonałym przebraniem. To jest okropne.

Miękim ruchem wsunęła Betty swoją rękę w jego dłoń.

— Rozchmurz się, niedługo dostaniesz napewno promocję, nie masz się czego obawiać.

Lecz Sydney nie był łatwy do pocieszenia. Ciągłe wracał do włamania, o którym rzeczywiście całe miasto ostatnio mówiło. — Mamy tak mało punktów, na których możemy się oprzeć — westchnął — i tylko to jedno zeznanie stróża. Naturalnie pracowała w gumowych rękawiczkach i nie mamy nawet jej odcisków daktyloskopiijnych.

— Tak, te by bardzo pomogły, — rzekła Betty — uważam, że ręce jako takie są wogóle wspaniałe. Często w czasie mojej pracy poznaję ludzi tylko po ich rękach.

— Tak? — powiedział Sydney — A jak?

— Widzisz, jest na przykład jedna dziewczyna, która przychodzi codziennie i maluje paznokcie na złoto. Zawsze ją poznaję. Ostatnio ma bardzo ładny pierścionek zaręczynowy.

— No tak, dobre paznokcie są raczej rzadkością, ale czy pamiętasz też inne ręce? — zapytał Sydney.

— O tak! — rzekła Betty — Jest też jeden biedny stary człowiek, którego ręce są całe sine i drżące i powykręcane przez reumatyzm. Tak mi było za niego przykro w czasie zimnych dni. Są też dwaj chłopcy biurowi z okropnie brudnymi paznokciami. Zwróciłam im raz uwagę, ale odpowiedzieli bardzo nieuprzejmie!

Żeby tylko odwrócić umysł Sydney'a od męczących go trosk, Betty starała się nadal podtrzymać rozmowę, opowiadając mu o rozmaitych rękach, które знаła i nakoniec o tej z małą blizną od oparzenia, którą tego dnia zauważyła.

— To jest dziwne, — zakończyła — kiedykolwiek tylko ją znowu widzę, doznaję prawie szoku za każdym razem. Nie mogę zupełnie zrozumieć dlaczego.

— Czy jest to wielka blizna? — spytał Sydney.

— O nie, zupełnie mała, i znam ją od dawna, — odpowiedziała Betty — lecz tego dziwnego uczucia na jej widok doznaję dopiero od kilku ostatnich tygodni.

Sydney zdawał się być tem bardzo zainteresowany.

— Co spodziewałaś się zobaczyć? — spytał — Czy zmieniła się ona ostatnio w jakiś sposób? Czy paznokcie inaczej są obcięte, czy też ukazało się więcej pierścionków?

— Nie, nie pierścionki, ale paznokcie może, — odrzekła powoli Betty. — Sydney, — zatrzymała się nagle w księżycowym świetle i odwróciła podniecona ku niemu, — przyszła mi bardzo dziwna myśl do głowy.

Ciągle jeszcze omawiali tę sprawę, gdy podeszli do domu, w którym mieszkała Betty.

Następnego dnia była sobota. Oprócz sprzedaży jedzenia na miejscu, bar sprzedawał również gotowane mięso i pasztety na wynos i dużo więcej ludzi przychodziło w końcu tygodnia po prowianty na niedzielę. Dlatego sobota była zawsze najpracowitszym dniem Betty i już około południa czuła się bardzo zmęczona. Nagle jakaś ręka, z małym złotym pierścionkiem, który poznała, wsunęła się przez okienko i chwyciła za jej rękę. Aż się wzdygnęła.

— Sydney! — krzyknęła — Aleś mnie przestraszył! Co robisz tutaj o tej porze? —

— A to ładne przyjęcie! — powiedział Sydney — Widzisz, stało się to, że zmieniono nagle mój wolny dzień i dano mi dzisiejszy, tak, że właściwie nie wiem, co z sobą robić.

Niecierpliwa młoda kobieta czekała w kolejce za nim i Betty musiała ją załatwić zanim rozmowa mogła być prowadzona dalej.

— Czy masz zamiar zjeść obiad tutaj? — spytała — Niestety, jestem całkowicie zajęta aż do szóstej.

— Oh, o tym wiedziałem. — odpowiedział — ale mógłbym też i tu poczekać. Przynajmniej mogę widzieć ciebie, kochanie, albo choć trochę z ciebie. Czy RĘKA Z BLIZNĄ już była? —

Betty wydała resztę jakiemuś staremu panu, po wielokopainsku płacącemu banknotami za dwie parówki.

— Jeszcze nie, — odrzekła.

— Chciałbym zobaczyć właściciela tej ręki — powiedział Sydney — Powrócę około pół do drugiej, ponieważ, jak mówisz, przychodzi on zawsze późno i usiądę jaknajbliżej. Jeśli go zobaczysz, daj mi znak.

Betty zaśmiała się. — Za dużo czytałeś powieści detektywistycznych — rzekła — Jaki znak mam dać? Przecież rękę i posłać ci list pisany krwią? —

Sydney zignorował tę ironję.

— Oh, wszystko jedno, — odpowiedział lekko, — zrzucić cokolwiek na ziemię. Będę uważał. No, tymczasem dowiedzenia, kochana! — i zniknął — lecz nie przedtem, zanim kierownik lokalu nie posłał mu zimnego spojrzenia za przeszkadzanie personelowi i marnowanie czasu.

Jeśli robiony byłby wykres dokonanych sprzedaży, tego dnia wykazałby on swoje maximum. Tego przynajmniej była Betty zupełnie pewna. Zmuszona była pracować z takim napięciem, że zaledwie zdolna była uśmiechnąć się do Sydney'a, gdy około pół do drugiej zjawił się spowrotem. Zamówił skromny obiad złożony z pasztetu, kanapek i kawy i zapłacił przed jedzeniem, żeby móc natychmiast wyjść, gdyby zaszła potrzeba. Niestety, bar był tak przepełniony, że młody człowiek nie był w stanie się tak blisko kasy jakby chciał.

Betty uważała na szereg mijających ją dłoni. Pomimo poprzednich żartów była bardzo zainteresowana i miała ciąglą nadzieję, że ręka, której pożądaliby, nadejdzie. I rzeczywiście ukazała się ona, i to zupełnie niespodziewanie, gdy wcale o niej nie myślała... Pomimo to jednak i teraz Betty doznała tego samego uczucia niespodzianki, jakby jakaś atmosfera niezwykłości istniała około tej czystej ręki z małą blizną. Betty pamiętała. Wręczono jej dwa banknoty. Mały i duży. Zanim zaczęła wydawać resztę, spojrzała w stronę Sydney'a, czy ją obserwuje. Jak na złość czterech solidnie wyglądających mężczyzn stanęło, rozmawiając, w przejściu między stolikami, kompletnie uniemożliwiając porozumienie. Wyłączone było, żeby mógł on zauważyć jakikolwiek znak dany przez Betty. Chwila wymagała szybkiej decyzji.

Jako resztę miała Betty wydać dość dużą sumę. Szybko, jaknajmniejszej wartości monetami, dla zamaskowania swego czynu, odliczyła sumę, znacznie mniejszą od wymaganej i chwyciła następny czek z kolejki, zanim jeszcze dłoń z blizną zdążyła zebrać swoje pieniądze i zniknąć. Dziewczyna odetchnęła. Niedokładność wydania reszty została w tłoku i przy szybkiej manipulacji niezauważona. Betty знаła jednak swoją klientelę i wiedziała, że domniemana pomyłka będzie zauważona względnie szybko. Obrażony klient ukaże się wtedy, będzie jednak musiał znów zacząć od końca

kolejki. Dopiero więc za parę minut zacznie swoją reklamację. Przez ten czas grupa, zasłaniająca widok Sydney'owi, napewno już zniknie. Rzeczywiście, zaczęli się już posuwać w kierunku wyjścia.

Wydając resztę, Betty powtarzała sobie odpowiedź i przeprosiny, którymi będzie musiała ułagodzić reklamującego. Mięka, uprzejma odpowiedź zawsze łagodzi gniew. Jeśli pomyłka nie byłaby odkryta natychmiast, jak miała ona nadzieję, zatrzyma poprostu należące się pieniądze i zwróci je następnego dnia jaknajuprzejmiej, nie wzbudzając niczyjego podejrzenia. Jednak, po jakichś dziesięciu minutach ręka z blizną ukazała się znowu, trzymając trochę drobnych pieniędzy i surowy głos rzekł — Myślę, że się pani pomyliła. Brakuje jeszcze dość dużej sumy do należnej mi reszty.

Betty spojrzała szybko na salę. Sydney był wyraźnie widoczny i przyglądał się jej uważnie. — Ogromnie mi przykro, — rzekła — to było bardzo nieuważnie z mojej strony, ale tak się spieszyłam. Pomyłkę zauważyłam dopiero później i nie mogłam już nic poradzić. Natychmiast wyrównam różnicę. —

Odwróciła się i zaczepiwszy o szufladę zrzuciła na ziemię podstawkę do zbierania czeków. Było to umówionym znakiem.

Gdy Sydney podniósł się ze swego miejsca, Betty wydawała w tym momencie należącą się resztę, jeszcze raz przepraszając i uśmiechając się rozbrajająco. Niestety, następny gość zaczął się gwałtownie sprzeczać na temat sumy wypisanej na jego czeku. Tylko kątem oka zdążyła zauważyć Betty wychodzącego z baru Sydney'a i porównać jak potężną i silną sylwetkę tworzył on w porównaniu z chudym, słabowitym młodym człowiekiem, którego śledził.

Nie przeszło i trzy tygodnie, gdy policja była w stanie zaaresztować Joan Jackson pod zarzutem rabunku biżuterji. Potem, gdy Sydney śledził ją będącą w przebraniu, aż do jej domu, trzeba jeszcze było powiązać wiele faktów i wiadomości, umożliwiających aresztowanie. W krótki czas potem cała banda była pod kluczem.

Betty, w czasie zeznań, prawie nie była w stanie wytłumaczyć, jak to ona i Sydney, w czasie rozmowy przy księżycu, doszli do wniosku, że to kobieta — przypuszczalnie

w jakimś ciemnym celu zręcznie przebrana za mężczyznę — przychodzi posilać się w barze.

— Czy było coś w jej wyglądzie, pani Pearson, co zdradziło, że jest to kobieta — zapytano ją.

Betty potrząsnęła głową i nerwowo kręciła na palcu nową obrączkę.

— Nie zdaje mi się, — odpowiedziała wolno, — była bardzo zręcznie przebrana. Zupełnie nie wyglądała, jak aktorka teatralna, przebrana za chłopca, ale naprawdę, jak młody mężczyzna.

— Co więc dało pani powód do podejrzenia. Czy były to jej włosy, czy też twarz, figura, czy też coś innego.

— Nie, — rzekła Betty — Ja nigdy nie widziałam nic innego, jak tylko jej rękę. Byłam jednak przyzwyczajona widzieć tę małą bliznę między czerwonymi paznokciami i małym zegarkiem, a potem doznawałam ciągle pewnego rodzaju szoku, widząc tę samą bliznę pomiędzy niemalowanymi paznokciami — a rękawem męskiej marynarki.

CIĘTA ODPOWIEDŹ

Arcybiskup Nowego Jorku, kardynał Spellman, w czasie swego pobytu w Europie przybył do Belfast, gdzie kardynał MacRory wydał na jego cześć śniadanie. W śniadaniu wzięli udział prawie wszyscy biskupi północnej Irlandji i szereg innych osobistości, wśród których znajdowali się również dziennikarze. Był to piątek i na stół podano olbrzymią rybę. Właśnie wówczas dziennikarze zasypywali kardynała Spellmana natrętными i niedyskretnymi pytaniami. Dostojny gość broniąc się wskazał na olbrzymią rybę, leżącą na półmisku i powiedział.

— Patrzcie, panowie. Gdyby trzymała głowę zamkniętą, nie byłaby tutaj.

10 MILJONÓW BARW

W Ameryce czynione są studia nad ustaleniem naukowego systemu, któryby pozwolił dać nazwę każdej z dziesięciu milionów barw, jakie jest zdolne zarejestrować oko ludzkie. Grupa uczonych amerykańskich wybrana przez Amerykańskie Towarzystwo Optyczne kończy nowy system nomenklatury kolorów.

W 1896 roku wielki psycholog Tichener był zdania, że oko ludzkie potrafi zarejestrować 33.000 odcieni siedmiu zasadniczych barw. Później prof. Bering z uniwersytetu w Harvard twierdził, że oko ludzkie może odróżnić 300.000 barw. Wreszcie w 1939 roku doktor Judd oświadczył, że dobrze wyszkolony obserwator może przy świetle dziennem rozpoznać około 10.000.000 odcieni barw.

Mówimy po angielsku

1. Proszę pana o trochę masła i chleba!	I beg you (*) for a little butter and bread!	Aj begg ju for e lytt bater end bredd!
2. Dajcie mi trochę mięsa!	Give me some meat!	Giww mii sam miit!
3. Czy napije się pan kawy?	Will you drink coffee?	Uil juu drink koffii?
4. Proszę o szklankę kawy lub herbaty.	I beg you for a glass of coffee or tea.	Aj begg ju for e glass of koffii or tii.
5. Niech mi pan da szklankę wody.	Give me a glass of water.	Giww mii e glass of uoter.
6. Uczyń mi pan grzechoczną.	Do me the pleasure.	Duu mii dhze plezier.
7. Pożycz mi pan pieniędzy.	Lend me some money.	Lend mii sam many.
8. Dziękuję panu	I thank you.	Aj dhzenk ju.
9. Mój panie.	Sir.	Ser.
10. Jestem pańskim sługą.	I am your servant.	Aj em juur serwent.
11. Pan jest bardzo łaskaw.	You are very kind.	Juu aar werri kajnd.
12. Jestem gotów uczynić panu tę przysługę.	I am ready to do you that pleasure.	Aj em reddi tu duu ju dhzet plezier.
13. Czy mówi pan po angielsku?	Do you speak English?	Du ju spiik inglisz?
14. Mówię trochę.	I speak a little.	Aj spiik e lytt.
15. Czy pan mówi po francusku, czy po niemiecku?	Do you speak French or German?	Du ju spiik frencz or dżermen?
16. Mówię także po włosku i po rosyjsku.	I speak Italian and Russian also.	Aj spiik italien end raszen oulso.
17. Pan mówi zbyt cicho, niech pan mówi głośno	You speak too low; speak louder.	Ju spiik tuu lau; spiik lauder.

(*) Angielski zaimek "you" używa się dla obu rodzajników, męskiego i żeńskiego. "I beg you" znaczy zarówno "proszę pana" jak i "proszę panią".

18. Czy pójdzie pan ze mną?	Will you go with me?	Uill ju gou uidhz mii?
19. Nie mogę iść z panem.	I cannot go with you.	Aj kennot gou uidhz ju.
20. Czy pan jest zmęczony?	Are you weary?	Aar ju uiiri?
21. Jestem bardzo zmęczony i głodny.	I am very weary and hungry.	Aj em werri uiiri end hangri.
22. Czy pan coś kupi?	Will you buy anything?	Uil ju baj enidhzing?
23. Ja chcę kupić trochę chleba i masła.	I want to buy some bread and butter.	Aj uont tu baj sam bredd end batter.
24. Czy pomoże mi pan?	Will you help me?	Uil ju help mii?
25. Chcę panu pomóc, lecz nie mogę.	I want to help you, but I cannot.	Aj uont tu help ju, bat aj kennot.
26. Dokąd pan jedzie?	Where do you go?	Huer du ju gou?
27. Jadę do Ameryki.	I am going to America.	Aj em going tu Emerica.
28. Skąd pan przybywa?	Whence do you come?	Huens du ju kam?
29. Przybywam z Paryża.	I come from Paris.	Aj kam from Peris.
30. Czy wejdzie pan?	Will you go in?	Uil ju gou in?
31. Ja chcę wejść na górę.	I want to go up.	Aj uont tu gou ap.
32. Niech pan tu idzie.	Come here.	Kam hijer.
33. Pan idzie za prędko, niech pan zaczeka.	You go too fast. stay.	Ju gou tuu fast, stej.
34. Niech pan otworzy drzwi i okno.	Open the door and the window.	Oopn dhze door end dhze uindou.
35. Niech pan zamknie drzwi, proszę pana.	Shut the door, if you please.	Sziat dhze door yw ju pliiz.

POZDROWIENIE I PRZYWITANIE

1. Dzieńdobry panu.	Good morning, sir.	Guudd morning ser.
2. Życzę panu dobrego dnia.	I wish you a good day.	Aj uisz ju e guudd dej.
3. Dobranoc.	Good night.	Guudd najt.
4. Dobre popołudnie i wieczór.	Good afternoon and evening.	Guudd afternuun end iwning.
5. Jak się pan miewa dzisiaj?	How do you do today?	Hau du ju du tudej?

6. Mam nadzieję, że jest pan przy dobrym zdrowiu.	I hope, you are in good health.	Aj houp, ju aar in guudd heldhz.
7. Mam się bardzo dobrze.	I am very well.	Aj em werri uel.
8. Jak się miewa pański ojciec?	How is your father?	Hau iz juur fadhzer?
9. On się miewa bardzo dobrze, ale matka jest trochę niezdrowa.	He is very well, but my mather is a little indisposed.	Hi iz werri uel, bat maj madhzer iz e lytł indispozud.
10. Przykro mi.	I am sorry.	Aj em sorri.
11. Co jej dolega?	What ails her?	Huot ejłs her?
12. Zaziębiła się jadąc tutaj.	She got a bad cold on her passage here.	Szii got e bedd kould on her passidž hijer.
13. Jak dawno jest niezdrowa?	How long is she unwell?	Hau long iz szii anuelł
14. Czy bierze coś na to?	Does she take anything for it?	Daz szii tejk enidhzing for yt?
15. Lekarz odwiedza ją codziennie.	The doctor attends her everyday.	Dhze doktor attends her ewridej.
16. Spodziewam się, że to nie będzie mieć złych następstw.	I hope, that it will have not bad consequences.	Aj houp, dhzet yt uil heww noo bedd kou-sikuensys.
17. Cieszę się, że pana widzę.	I am very glad to see you.	A em werri gledd tu sii ju.
18. Już dawno pana nie widziałem.	It is long, since I have seen you.	Yt iz long sins ai heww siin ju.
19. Niech pan włoży kapelusz, proszę.	Put your hat on, I beg you.	Put juur het on, aj begg ju.
20. Niech pan siada, proszę.	Sit down, please.	Syt daun, pliiz.
21. Jestem panu bardzo zobowiązany, lecz nie mogę dłużej pozostać.	I am much obliged to you, but I cannot stay any longer.	Aj em macz oblajdžd, tu ju, bat aj kennot stej eni longer.
22. Pan się bardzo spieszy?	You are in a great hurry?	Ju aar in e greejt harri.
23. Kiedy będę mieć znowu przyjemność zobaczyć pana?	When shall I have the pleasure of seeing you again?	Huen szieł aj heww dhze pležier of siing ju egejn?
24. Do miłego widzenia.	Till I see you again.	Tił aj sii ju egejn.

Humor angielski

DODATNI WPŁYW

Generał Eisenhower opowiadał Churchill'owi o dodatnim wpływie jaki podobno wywierają żołnierze angielscy na żołnierzy amerykańskich. Churchill uśmiechnął się tylko. W tym momencie wbiega żołnierz amerykański, pytając:

— Panie generale, czy mogę pożyczyc pana samochód?

— Rozumie pan teraz, co chciałem przez to powiedzieć? — zwrócił się Eisenhower do Churchill'a — Jeszcze rok temu wcaleby się mnie o to nie spytał.

KOBIETY W ARMJI

W żołnierskim sklepiku młody marynarz czeka cierpliwie w kolejce żeby kupić prezent swej żonie, która również służy w wojsku. W tym momencie przepycha się i zajmuje miejsce przed nim kobieta w mundurze.

— Przepraszam, odzywa się marynarz, ale ja byłem pierwszy.

— Mój mąż jest oficerem — odpowiada oburzona jejmość.

— Jakiej rangi?

— Podporucznik!

— Przepraszam bardzo, — odpowiada marynarz i zajmuje miejsce przed nią — moja żona jest kapitanem!!

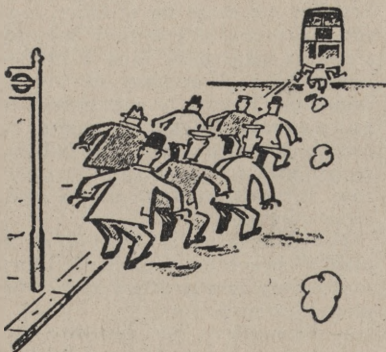
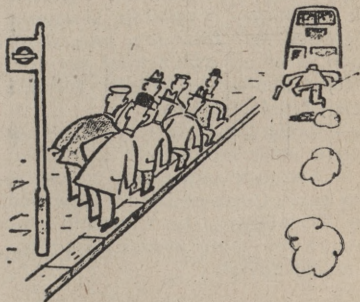
ZAKŁAD

Szeregowiec Smith, niezmiernie lubi zakłady i nigdy ich nie przegrywa. Ma to tak demoralizujący wpływ na całą kompanję, że jego porucznik, po wielu daremnych próbach uleczenia go z tego brzydkiego nałogu, posłał go w końcu do dowódcy kompanji. Po odbytej rozmowie i naganie, kapitan, dowódca kompanji wzywa do siebie porucznika.

— Dowiodłem szeregowcowi Jones, — mówi kapitan — że może przegrać zakład. Spytałem dlaczego nie może przestać się zakładać, na co odpowiedział, że jest to zwyczaj, którego nie może się w żaden sposób wyzbyć. Naprzykład mógłby się teraz założyć ze mną o 10 dolarów, że mam znanie na lewym ramieniu. Oczywiście wiedziałem, że go nie mam, zdjął-m koszulę i przekonałem go o tym. Zgodził się, że przegrał i zapłacił mi 10 dolarów. Przypuszczam, że to go wreszcie oduczyci.

Porucznik z nader kwaśną miną przyjął oświadczenie kapitana, który zaskoczony tym pyta go o powód niezadowolenia.

— Oczywiście, nie jestem zadowolony — odpowiada porucznik — widzi pan kapitan, w drodze do pana, Jones założył się ze mną o 25 dolarów, że w ciągu 5 minut zmusi pana do zdjęcia koszuli.



Duch sportowy w XX wieku

082256

IX/11/26

